odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok V. Nr 7 (207)
Łódź, 18. II. 62 r.
Cena
1 zł

EWA OSTROWSKA

PIĘTNASTOLETNIA (KOBIETA)?

W dyskusji na temat wychowania młodzieży, próba analizy pamiętnika piętnastoletniej uczennicy wydaje się cenna i pouczająca.

red.

Pisanie pamiętników jest domeną określonego wieku i płci. Najczęściej autorstwo ich przypada na okres piętnastu lat, kiedy beztroskie dzieciństwo niepostrzeżenie przechodzi w trudny wiek dojrzewania. Już nie dziecko, a jeszcze nie — kobieta (poczciwe ciocie nazywają owo przejście „wykluwaniem się motylka z larwy") uruchamia powtórnie cały system uciążliwych pytań: „dlaczego?", tym razem — w odróżnieniu od wczesnego dzieciństwa — zadawanych nie dorosłym, lecz sobie.

Powszechnie przyjęta prawda o dziewczętach mówi, że grzeszą one wyobraźnią, wrażliwością, egzaltacją w nieporównanie silniejszym stopniu niż chłopcy-rówieśnicy, a łatwością ulegają wpływom, miewają zmienne nastroje, jak również — dojrzewają szybciej fizycznie i umysłowo. Dlatego prawie każda piętnastoletnia posiada jakieś cechy bohaterki bestselleru dla podlotków — „Ani z Zielonego Wzgórza", a wielu nie obca jest również daleko idąca z nią autoidentyfikacja.

Przyjęła się ponadto słuszna opinia, że uciążliwy wiek przysparza mnóstwo kłopotów otoczeniu. Jako klucz wychowawczy służy często wzmożona sankcja karna. „Pokrzyczeć i zganić nigdy nie zaszkodzi" — z takiego założenia wychodzi przecież wielu rodziców, przemyślnie unowocześniając zarchaizowaną już przestrogę „Dziateczki Pan Bóg rózgą bić każe", i, zależnie od okoliczności traktując swoją piętnastoletnią raz jako d o r a s t a j ą c ą, lub — odwrotnie — jako zupełnie n i e d o r o s ł ą co potęguje tylko w psychice podlotka stan dezorganizacji. Bywa też i tak, że po prostu macha się ręką na chimery swojej córki, mówiąc: „At, ona sama z tego wyrośnie". Zgoda. Wyrośnie. Ale jakim kosztem? I czyim?

* * *

„Kochana Alu!... Obudziłam się dziś wcześniej, kiedy jeszcze wszyscy w domu spali i podziwiałam rodzący się dzień. Gdy jest tak pięknie na świecie, od razu wszystko wydaje się też piękne. Ale potem wstała mama i zaraz skrzyczała mnie, że się przeziębię stojąc przy otwartym oknie i że lepiej powtórzyłabym lekcje niż się wygłupiać. Ach, ona niczego nie rozumie!"

Mam oto przed sobą pamiętnik piętnastoletniej dziewczyny. Pisany w formie listów do nieznanej przyjaciółki (!), momentami stylizowany pod liryczno-sentymentalny patos bohaterek, niekiedy jakby z satysfakcją stosujący wulgarne słownictwo. Stanowi on miniaturowy portrecik wewnętrznego światka przeżyć dziewczyny, którego koloryt nie zawsze odpowiada sielskiemu nastrojowi pogodnej akwareli.

Tylko w tym, pierwszym lepszym fragmenciku, wyrwanym w dodatku z chronologicznego kontekstu dat, zarysowuje się wyraźny profil piętnastoletniej dziewczyny — jej duża wrażliwość, zalążek

Dokończenie na str. 9

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI
(1898 - 1962)

MÓJ POGRZEB

Mnie ta ziemia od innych droższa,
ani chcę, ani umiem stąd odejść,
tutaj Wisłą, wiatrami Mazowsza
przeszumiało mi dzieciństwo i młodość.

W moim oknie pole i topole
i ja wiem, że to właśnie — Polska.
Stąd i radość, i chmura na czole,
tutaj słowa me zbroję jak wojska.

A te słowa zrozumie ziemia,
choćby miały krwią się wysączyć:
przecież nawet mury więzienia
obrastają poezją jak pnączem.

Tutaj do mnie najcichszym listkiem
ufnie mówią topole i wierzby,
moje serce tu wie o wszystkim,
chyba tutaj umrę — bo gdzieżby?

Więc gdy umrę, dobrze mnie otul,
ziemio czarna, znajoma, dobra,
szeregami żałobnych topól
niechaj idzie za mną krajobraz

i niech w srebrnym liści popłochu
długo szumią nadwiślańskie drzewa
o tym wszystkim, com czuł i kochał,
o tym wszystkim, czegom nie wyśpiewał.

(1929)

Mieczysław Voit (Don Kichot z Manchy) i Edward Wichura (Sancho Pansa) w „Zaczarowanej Gospodzie". RECENZJĘ Z TEGO SPEKTAKLU ZAMIESZCZAMY NA Str. 8
Fot. G. Puciato

MIROSŁAW AZEMBSKI

OAS od podszewki

Zdaniem wielu autorów, zajmujących się od dawna Algierią i kombinacją Algieria-Francja, ta północnoafrykańska posiadłość francuska stała się bazą wypadową faszyzmu w momencie, gdy doszło do aliansu pomiędzy metropolitarną armią (mowa oczywiście o jednym z jej odłamów) a ludźmi, których popularnie nazwano ultrasami. Ze strony francuskiej mamy więc dwu głównych aktorów dramatu i nimi to właśnie zajmiemy się w niniejszym szkicu; wychodzimy bowiem z założenia, że mimo tysięcznych publikacji na ten temat, pewne rysy charakteru obu tych złowrogich postaci albo uszły ogólnej uwadze, albo też po prostu uległy zapomnieniu. Skąd faszyzm w „naszej Francji", w kraju liberalizmu, równości, braterstwa? — oto pytanie, jakie zadaje sobie szary polski obywatel, oszołomiony dzisiaj wiadomościami o wybuchach plastikowych bomb, które „nieznani sprawcy" rzucają zarówno pod nogi działaczy komunistycznych, jak i pod piękne nóżki kociaków ze srebrnego ekranu. Miejmy nadzieję, że odpowiedź — częściowa oczywiście — wyłoni się sama z opisu owego szczegółowego elementu armii oraz ugrupowania ultrasowskiego — obu tych braci syjamskich, którzy z czasem, po wielu wzajemnych kłótniach i nieporozumieniach, zrośli się z sobą na dobre w jedną postać, występującą dzisiaj pod kryptonimem OAS.

Zaczęło się to w Algierii, w 1954 roku.

Jako datę początku wojny algierskiej przyjmuje się noc z 30 października na 1 listopada, kiedy to w trzydziestu różnych punktach kraju nieznani wówczas ludzie dokonali zamachów terrorystycznych. Ataki na posterunki policji, bomby w elektrowniach, w koszarach, na liniach kolejowych i mostach — oto akty, które wypadałoby raczej nazwać sabotażem, aniżeli terrorem. Sabotaż jest jednak terminem kojarzącym się ze zorganizowaną walką, może nawet z wojną partyzancką — a tego

Dalszy ciąg na str. 6

ZYGMUNT LATOSZEWSKI

KONSERWACJA TRUPA NIEAKTUALNA

Redakcja „Odgłosów" zamieściła ostatnio artykuł wybitnego poety Mariana Piechala pt. „Konserwacja trupa" nazywając te osobliwe wywody pamfletem (w podtytule paszkwilem) a zarazem zapraszając czytelników do dyskusji na poruszony w artykule temat.

Paszkwil z natury rzeczy jest napaścią, która wyklucza dyskusję a wymaga raczej kontrataku, uzbrojonego w podobny asortyment wyrażeń jakimi operował adwersarz. Sądzę jednak, że sprawa opery, której autor w tak gwałtowny sposób odmawia wszelkiej racji bytu we współczesnym świecie nie zostałaby w mojej odpowiedzi rzeczowo wyjaśniona, gdybym w tonie równie zagniewanym miał się rozprawić z pseudohistoryczną argumentacją autora artykułu. Nie jestem też człowiekiem pióra, który zręcznością stylu i błyskotliwością efektownych sformułowań mógłby sprostać przeciwnikowi, zahartowanemu w publicystycznych bojach, dających chyba zawsze intelektualną podnietę czytelnikom niezależnie od słuszności poruszonej sprawy. Ponieważ jednak w artykule ob. Piechala tej słuszności nie mogłem się doszukać, natomiast znalazłem mnóstwo stwierdzeń zgoła nieprawdziwych i wniosków zadziwiająco pochopnych, przeto pragnąłbym czytelnikom „Odgłosów" przekazać szereg informacji, ilustrujących diametralnie przeciwny obraz od tego jaki autor artykułu uznał za rzeczywisty.

Byłbym oczywiście szczęśliwy, gdybym również szanownego przeciwnika mógł przekonać o błędności jego sądu o operze jako gatunku muzyczno-scenicznym, lecz wydaje mi się to daremne, skoro w jego artykule czytam następującą definicję: „Opera to sztuczny twór, ni to muzyczny, ni to słowny, ni to wizualny, gdzie muzyka przeczy słowu, a słowo wizji, gdzie jedno przeszkadza drugiemu, a drugie trzeciemu... chaos i melanż... całość obraża elementarne poczucie dobrego smaku".

I pomyśleć, że długi szereg genialnych muzyków i wybitnych poetów od przeszło 350 lat tworzyło i tworzy

Dalszy ciąg na str. 7

ROZMOWA ODGŁOSÓW z:

doc. dr. Januszem BARDACHEM

kierownikiem Katedry Chirurgii Stomatologicznej AM i Kliniki Chirurgii Szczękowo-Twarzowej AM w Łodzi

o:

- **GŁÓWNYCH KIERUNKACH ŁÓDZKIEJ CHIRURGII PLASTYCZNEJ TWARZY**
- **MOTORYZACJI I ZŁAMANYCH SZCZĘKACH**
- **OPERACJACH KOSMETYCZNYCH**
- **PRZESZŁOŚCI I PERSPEKTYWACH**

z

— Łódź jest poważnym ośrodkiem chirurgii plastycznej twarzy i swoją sławę w tej dziedzinie zawdzięcza w dużej mierze Panu, Panie Profesorze. Czy może nam Pan pokrótce opowiedzieć o powstaniu i głównych kierunkach działalności prowadzonej przez Pana kliniki.

— Klinika nasza została utworzona w roku 1945 przez prof. dr A. Meissnera, który położył olbrzymie zasługi w rozwoju chirurgii stomatologicznej w Polsce. Ja objąłem kierownictwo kliniki przeszło 6 lat temu po prof. dr F. Bohdanowiczu, kierowniku Kliniki Chirurgii Szczękowej w Warszawie, będącym wówczas jednocześnie i kierownikiem kliniki łódzkiej. Moim dążeniem, po przejęciu tej funkcji, było rozszerzenie działalności kliniki w kierunku chirurgii plastycznej twarzy, który mnie najbardziej pasjonuje i w którym się specjalizowałem.

— Zdaje się, że za granicą?

— Tak. Jestem absolwentem Moskiewskiego Instytutu Medyczno-Stomatologicznego. Również i aspiranturę odbywałem w Moskwie w Klinice Chirurgii Szczękowo-Twarzowej tej uczelni. W sumie przebywałem na studiach w ZSRR przeszło 8 lat, specjalizując się u znanego szeroko ze swych osiągnięć naukowych prof. dr A. Jewdokimowa, członka korespondenta Akademii Nauk ZSRR.

— Jak można byłoby najkrócej określić profil prowadzonej przez Pana kliniki?

— W pracy usługowej zajmujemy się całokształtem chirurgii szczękowej i plastycznej twarzy. W problematyce naukowej szczególnie interesuje nas zagadnienie przeszczepów, traumatologia szczękowa oraz zagadnienia wad rozwojowych twarzy.

— Czy chirurgia plastyczna twarzy to są te właśnie legendarne operacje kosmetyczne?

— Operacje kosmetyczne stanowią zaledwie wąski wycinek całości zagadnienia. Chirurgia plastyczna twarzy w pierwszym rzędzie zajmuje się odtwarzaniem brakujących części twarzy oraz leczeniem operacyjnym różnorodnych zniekształceń szczękowo-twarzowych.

— Wyobrażam sobie jakie to nastręcza trudności...

— Plastyka w obrębie twarzy jest o tyle złożona, że wszelkie ubytki tkanek w tej okolicy oraz zniekształcenia powodujące asymetrię są szczególnie łatwo dostrzegalne, a

u bardzo wielu chorych powodują ciężkie urazy psychiczne uniemożliwiające im pracę a nierzadko i współżycie z otoczeniem.

Jest zadziwiające, że często nawet nieznaczne nieprawidłowości (szczególnie dotyczy to nosa) wywołują powstawanie kompleksów i wpływają na zmianę osobowości.

— Jakie metody leczenia stosuje dzisiejsza chirurgia plastyczna?

— Wykonuje się operacje plastyczne z wykorzystaniem różnorodnych sposobów i metod operacyjnych. Posługujemy się tzw. plastyką „miejscową" polegającą na odpowiednim przemieszczeniu tkanek, wykorzystując zdrowe tkanki w okolicy ubytku. Bardzo często jednak wykorzystujemy wolne przeszczepy skóry pobierane z odleglejszych okolic ciała. Nierzadko też posługujemy się płatami cylindrycznymi np. z brzucha przenosząc je w okolice ubytku. Z takiego płata cylindrycznego można wytworzyć w następstwie brakujące części twarzy nawet takie jak nos, policzek, wargi, małżowiny uszne i inne. Stosujemy również w praktyce przeszczepy kostne w przypadkach ubytku kości szczękowych. Przeszczep kostny po odpowiednim wymodelowaniu wszczepia się w miejsce brakujących części kostnych szczęki.

Równie szeroko posługujemy się wszczepami chrząstnymi. Wszczepy chrząstkowe stosujemy w przypadkach odtwarzania nosa lub małżowiny usznej i osiągamy bardzo dobre wyniki estetyczne. Warto przy okazji zaznaczyć, że właśnie w naszej klinice posiadamy bank chrzęstny jeden z nielicznych w Polsce, wyposażony w zapas chrząstki, w każdej chwili gotowej do wykorzystania.

— Jakie są najczęściej spotykane wady rozwojowe twarzy, w których nieodzowna jest pomoc chirurgii plastycznej?

— Należą do nich rozszczepy wargi i podniesienia (zajęcza warga i wilcza paszcza) u dzieci. Poza tym znaczny odsetek stanowią wady rozwojowe małżowin usznych i zewnętrznego przewodu słuchowego. Usunięcie tych wad wymaga bardzo złożonego leczenia przy zaangażowaniu całego zespołu lekarzy-specjalistów a mianowicie: chirurga, pediatry, ortodonty i foniatry. Ponieważ dotychczas nie było w Polsce statystyki dotyczącej częstości występowania tych wad rozwojowych asystent naszej kliniki dr W. Januszewska przeprowadziła badania na przeszło 32 tys. noworodków, z którego wynika, że częstość występowania tej wady rozwojowej wśród dzieci łódzkich jest jedną z największych w świecie. Dociekanie przyczyn tego zjawiska stanowi cel naszych dalszych badań. Zaś od 1 lutego br. przy klinice naszej został utworzony pierwszy w Polsce i jeden z bardzo nielicznych w Europie Ośrodek Leczenia Wad Rozwojowych Twarzy oparty na zasadach kompleksowego leczenia i aktywnej dyspanseryzacji, tzn. że inicjatywa leczenia wypływa od lekarzy a nie od rodziców.

— Jak to wygląda w praktyce?

— Każde dziecko urodzone z wadą rozwojową zostaje w trybie obowiązkowym zgłoszone i to w ciągu 24 godzin do naszego Ośrodka. Z kolei Ośrodek udziela matce wszelkich instrukcji odnośnie postępowania z dzieckiem i jednocześnie wyjaśnia, że istnieją możliwości leczenia i usunięcia wady. Trzeba podkreślić, że wskutek małego na ogół uświadomienia społeczeństwa, szczególnie na wsiach, urodzenie dziecka z wadą wrodzoną twarzy prowadzi nierzadko do tragedii, przy czym z reguły winą za urodzenie takiego dziecka obciąża się matkę. Nierzadko więc dzieci te są celowo zaniedbywane przez rodziców, podrzucane przez wychodzące ze szpitala matki słowem stają się przedmiotem szykan ze strony środowiska, zamiast leczenia i pomocy. Mamy więc nadzieję, że w dziedzinie walki z tego rodzaju zacofaniem nasz Ośrodek będzie mógł zdziałać niemało.

— Mówiliśmy dotychczas o wadach rozwojowych. A oszpecenia pourazowe? Czy należą do częstych przypadków z jakimi styka się klinika?

— Ilość urazów twarzy połączonych ze złamaniem kości szczękowych i ranami tkanek miękkich wzrasta z roku na rok, w związku z niesłabnącym chuligaństwem i rozwojem motoryzacji. Zagadnienia związane z leczeniem złamań kości twarzoczaszki i oszpeceniami pourazowymi tkanek miękkich stanowi jeden z ważniejszych problemów, którymi zajmuje się nasza klinika. Należy stwierdzić, że bardziej ciężkie zniekształcenia i oszpecenia są w pierwszym rzędzie wynikiem wypadków motocyklowych.

— Może jeszcze kilka słów na temat operacji kosmetycznych, jako że te właśnie odmładzające zabiegi otoczone są omalże legendą i wzbudzają zainteresowanie coraz szerszych rzesz kobiet...

— Tzw. operacje kosmetyczne polegają na usuwaniu nieprawidłowości, które są bardzo często spotykane i tylko w zależności od subiektywnych odczuć powodują u pacjentek lub pacjentów potrzebę ich usunięcia. Są to więc zadarte, zbyt długie lub garbate nosy, zmarszczki w okolicy szyi, policzków i powiek, odstające uszy itp. Operacje tego typu wykonujemy u tych osób, u których są one wskazane ze względu na wykonywany zawód względnie u osób, u których stają się przyczyną urazów psychicznych. Niestety, nie ma w Polsce „Instytutu Piękności" takiego jakie istnieją w krajach zachodnich lub w Moskwie. Tego rodzaju instytuty są niewątpliwie potrzebne ze względu na to, że nie ma możności zadośćuczynienia potrzebom wszystkich pacjentów zgłaszających się do Kliniki.

— Czy leczycie tylko pacjentów łódzkich?

— Jeżeli chodzi o chirurgię szczękową, to naszymi pacjentami są w zasadzie mieszkańcy Łodzi oraz województwa łódzkiego. Natomiast pacjenci z wadami rozwojowymi i do plastyki twarzy rekrutują się z całej Polski. Kolejka do zabiegów jest więc niemała. W tej chwili obowiązuje zapis 6—7 miesięcy naprzód.

— Działalność usługowa Kliniki jest tak pasjonująca, że zapomniałam zapytać Pana Profesora o pracę naukową zarówno Kliniki jak i Katedry. Może więc wspomnimy o najważniejszych chociaż momentach...

— Działalność naukowa kliniki koncentruje się wokół zagadnień związanych z plastyką twarzy, wad rozwojowych i traumatologii szczękowej. Mamy na swym koncie około 70 publikacji naukowych, ogłoszonych zarówno w piśmiennictwie polskim jak i zagranicznym. W klinice zostały opracowane nowe metody operacji rozszczepu wargi, plastyki nosa przy częściowym lub zupełnym jego braku. Wypracowaliśmy też wspólnie z prof. dr A. Radzimińskim sposób chirurgicznego leczenia wad rozwojowych małżowiny usznej i zewnętrznego przewodu słuchowego. To bardzo trudne zagadnienie zostało przedstawione w filmie kolorowym obrazującym wszystkie etapy leczenia operacyjnego.

Utrzymujemy również stały kontakt naukowy z ośrodkiem Chirurgii Szczękowej Twarzy i Plastycznej w ZSRR, Anglii, USA, CSRS i w Argentynie. Ja sam czterokrotnie brałem udział w zagranicznych zjazdach naukowych wygłaszając referaty, które były publikowane w prasie zagranicznej. W maju zaś wyjeżdżam do Anglii, do Kliniki Chirurgii Plastycznej w Oxfordzie.

Pragnę podkreślić dużą troskę Władz Uczelni i Wydziału Zdrowia Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi, które w zrozumieniu potrzeb chirurgii szczękowo-twarzowej umożliwiły nam obecnie znaczne polepszenie warunków lokalowych, zwiększenie ilości łóżek i wyposażenie odpowiednie do nowoczesnych wymogów.

— Wypada więc pożegnać przybytek najmłodszej, ale już tak zasłużonej Muzy Eskulapa...

— Chirurgia plastyczna wcale znów nie jest taka młoda. Pierwsze wzmianki o niej zawiera bowiem już indyjska Księga Życia na 2 tys. lat p.n.e. Przez cały zaś dalszy ciąg czasu spotykamy w różnych kronikach a później w szerszych publikacjach ślady rozwoju tej gałęzi medycyny. Jednakże dopiero wiek XX a zwłaszcza ostatnie 20 lat stworzyły realne warunki dla naukowych i leczniczych sukcesów chirurgii plastycznej.

— Dziękujemy, Panie Profesorze, za interesującą rozmowę i życzymy dalszych sukcesów w pracy nad rozwojem łódzkiej chirurgii szczękowej i plastycznej twarzy.

Rozm. K. WYRZYKOWSKA

W Łodzi to nie uchodzi

Nie chodzi o sens tylko o zadanie

— Coś pan taki przegrany, panie Feliksie? Grypa, czy coś gorszego, broń Boże?

— Nie, głupstwo.

— Małżeńskie nieporozumienie pewno?

— Coś tak jakby...

— Pewnie z narady roboczej wróciło się nad ranem? Co? Rozumiem, zdarza się.

— Nie zgadłeś pan. Zwyczajnie, o dziecko poszło. O córkę.

— Tak, tak. Z tymi dziećmi to kłopotów...

— Z moją tam większych kłopotów nie mam. Na ogół. Wczoraj poszło o zadanie. Po obiedzie położyłem się trochę. Człowiek po tej harówce w biurze chce wypocząć. Mała odrabiała lekcje. Po jakimś czasie słyszę, że żonę mi męczy o jakieś zadanie, bo nie może rozwiązać. Słyszę jak żona mówi:

— „Idź do ojca, ja tu mam jeszcze dużo roboty w kuchni. Niech on ci pomoże!"

Weszła cicho. Ja udaję, że śpię. Zresztą rzeczywiście chciałem sobie trochę pospać. Wyszła. Po chwili wchodzi żona:

— Felek, pomóż no jej w zadaniu! Półrocze za pasem, jeszcze dziewczyna dwóję oberwie! Jakiegoś zadania nie potrafi rozwiązać. Ja nie mam czasu!

„Nie mam czasu" — znam się na tym. Nie potrafi. Diabli mnie biorą, że nawet chwili spokoju nie ma. Ale co tam z babą zadzierać. Dla świętego spokoju zwlekam się z tapczanu...

— Pokaż to zadanie — mówię. Wie pan takie głupie, naprawdę łatwe zadanie: do jakiegoś zbiornika przez jedną rurę wlewa się woda i w (zdaje się) 10 godzin go napełnia a przez drugą rurę w 5 godzin opróżnia. Trzeba obliczyć w ile godzin opróżni się pełny zbiornik, jeżeli otworzy się obydwie rury.

No i tłumaczę jej, nawet rysuję ten niby zbiornik, rury krany... A ona ani me, ani be. Tylko pyta:

— Tata, a po co otwierać obydwie rury, kiedy wodę trzeba oszczędzać?

A ja jej spokojnie:

— Nie rozumuj, tumanie jeden, tylko myśl: jak się wlewa i wylewa, to widocznie tak musi być. Zresztą tu nie chodzi o sens, tylko o zadanie. No, więc mówię: — Uważaj, jeżeli cały zbiornik napełni się w 10 godzin, a opróżni w 5 godzin, to w ile godzin opróżni się zbiornik, jak się otworzy obydwa krany?

A ona:

— W 15 godzin!

Cholera mnie wzięła, ale spokojnie, grzecznie mówię do niej:

— A jakby tak, idiotko jedna, przez jedną rurę wlewała się woda przez 5 godzin a przez drugą wylewała przez 10 godzin, to w ile godzin by się zbiornik opróżnił?

— Też w 15 — mówi.

Trzymam się, żeby mnie nie poniosło. I spokojnie mówię do niej:

— Uważaj, kapuściano głowo, to wszystko jedno, czy się napełnia przez 5 czy 10 godzin? Co, kretynko!?

A ona w bek i do matki. Matka na mnie:

— Toś ty taki ojciec? W biurze to się maskujesz, udajesz inteligentnego, opanowanego. A tu dziecko od kapuścianych głów, od idiotek? Sameś idiota! Kretyn!

No to ja na nią:

— Taka jesteś mądra jak i twoja córka! Zwariować można w tym domu! Pies was trącał!

I wyrwałem z tego piekła. Krew mnie zalewała, więc tego... rozumie pan... Rzeczywiście wróciłem raczej późno i trochę spłukany. Niech to diabli!

Z żoną jestem teraz na wojennej stopie. Chciałem ją trochę jakoś udobruchać. Powiedziałem, żeby mi nie kazała więcej pomagać dziecku w lekcjach. A ona:

— Pogadamy, jak pójdziesz do szkoły na wywiadówkę!

Psiakrew! Ale chyba się od tej wywiadówki nie wykręcę. Na stare lata znów się ma tremę przed szkołą!

— Właściwie, panie Feliksie, możemy sobie podać ręce.

— Też pan podpadł?

— Cokolwiek. Mój Stefek też z matematyki nie orzeł. A mojej Anielci to nawet nie próbuję się opierać. Z nią to człowiek tylko jakimś dowcipem może coś wskórać. Ale tak na chama to nie!

Więc to zadanie mu dyktuję co i jak, żeby prędzej odwalić. Chciałem na pół czarnej wyskoczyć. Podyktowałem, zapisał. Mucha nie siada. Nawet datę napisał, margines zrobił, tytuł dwa razy podkreślił. Fajnie — myślę sobie. Rodzinna pańszczyzna odwalona, jestem wolny i na rodzicielskim sumieniu czysty, jak nie przymierzając, łza.

— No pewnie!

— Poczekaj pan!

Na drugi dzień przychodzę z pracy, a tu, widzę, moja Anielcia coś jak chmura gradowa „ulewą brzemienna". Stefek pochlipuje w kącie. Oj, coś niedobrze, myślę sobie

— Jak tam, Stefciu? Co ci jest? A Anielcia:

— Idź no ty na wywiadówkę i zrób porządek w tej szkole! Co oni sobie myślą? Chłopak miał przecież dobrze zrobione zadanie, no nie?

— Pewno! Sam mu dyktowałem!

— No widzisz! A dostał dwóję!

— Niemożliwe!

— Niemożliwe? Niech ci Stefek opowie.

— Jak to było, Stefek, gadaj!

— No, pan sprawdzał zeszyty, czy lekcje odrobione. No i zdziwił się, że ja mam tak dobrze wszystko i ładnie. No i wziął mi zeszyt. I powiedział, żebym poszedł do tablicy i wytłumaczył, jak trzeba to zadanie rozwiązać, bo wielu nie potrafiło i zrobiło źle. I pan krzyczał i był zdenerwowany...

— No i co?

— No i... tego... no i ja nie umiałem...

— No i co? Powiedziałeś pewnie, że to ja ci pomagałem?

— Yhy!

— O ty fujaro! Pocoś się przyznawał? Ot, cielę. Nic z ciebie nie będzie! No, a pan co na to?

— Powiedział, że mnie stawia dwóję, a tatusiowi to postawi stopień ale dopiero na wywiadówce.

— A to pana ubrał!

— No to pójdziemy chyba razem na tę wywiadówkę?

— Dobrze, ale może trochę później, jak te mamy „przymusowe" spłyną. Bo my chyba pochwały nie dostaniemy.

— W porządku. Przyjdziemy jakie pół godziny później.

— Nie zacznie się chyba punktualnie, to można i godzinę się spóźnić.

— No, tak to lepiej nie ryzykować! Jeszcze nas mogą na stare lata do kąta postawić.

ojciec Wirgiliusz

MARIA KORNATOWSKA

Wąż a „sprawa polska"

Problem tzw. filmu współczesnego jest już od lat ulubionym tematem rozważań naszej prasy i to nie tylko, jak ów osławiony wąż morski w okresie kanikuły. Podobnie zresztą jak w wypadku rzeczonego węża, chociaż wszyscy o nim uczenie rozprawiają, to każdy go sobie inaczej wyobraża. No bo ostatecznie węża morskiego nikt nie widział. A polski film współczesny? To nie jest takie proste. O jaki film bowiem chodzi? Jaki film możemy określić mianem współczesnego? „Krzyżaków" raczej nie, bowiem inna rzecz współczesność, a inna aktualność pewnych spraw. Ale czy rzeczywiście film kostiumowy nie może być zarazem filmem współczesnym? Czy sprawą zasadniczą jest współczesność tematu czy też konfliktu i pryzmatu przez jaki się go ukazuje?

Weźmy chociażby taką „Matkę Joannę od Aniołów", która będzie filmem współczesnym o tyle, o ile ujawnia prawdę o naturze ludzkiej, o jej konfliktach i prawach, prawdę widzianą oczyma dzisiejszego człowieka odnoszącą się do tegoż człowieka. Na tej płaszczyźnie można by porównywać „Matkę Joannę" z współczesnymi par excellence filmami Antonioniego (abstrahując od zasadniczych różnic), które są również próbą poszukiwania prawdy o dzisiejszym człowieku i współczesnej prawdy o naturze ludzkiej w ogóle) o ile wolno to w ten sposób ujmować). Na korzyść dzieł Antonioniego przemawia jednak fakt, iż są one istotnie wielkim szukaniem, podczas gdy „Matka Joanna" jest wyrafinowaną wprawdzie i subtelną, ale tylko ilustracją pewnej z góry założonej tezy (szlachetnej zresztą i odważnej). Głębsza analiza filozoficznej tkanki filmu Kawalerowicza pozwoliłaby więc prawdopodobnie, przynajmniej metodologicznie, podważyć ową „współczesność" spojrzenia na naturę ludzką. Albowiem znamieniem współczesności jest nieustanne poszukiwanie i nieustanne wątpienie, nie zaś konstatowanie pewnych prawd.

Niezależnie jednak od zastrzeżeń, jakie budzi „Matka Joanna", stanowi ona niewątpliwie interesujący a w każdym razie pierwszy w dziejach naszej kinematografii głos w toczącym się sporze o istotę i los człowieka. Dzieło to mogłoby zapoczątkować u nas nurt filmu intelektualnego, w którym pojęcie współczesności byłoby nieskończenie szersze i zarazem bardziej ograniczone, ale w żadnym razie nie sprowadzałoby się jedynie do tematu. Wydaje się, że właśnie takimi ścieżkami toczy się obecnie zaprząg X-ej muzy. Z jednej strony film intelektualny, film o ambicjach filozoficznych, film poszukujący prawdy o człowieku i świecie, z drugiej zaś film obserwacji, drążenia i sondowania rzeczywistości. Kamera-mózg i kamera-oko. I gdzieś na przecięciu tych dwóch tendencji powstaje autentyczny obraz dzisiejszego świata i miejsca człowieka pod słońcem.

To cośmy powiedzieli o „Matce Joannie" dotyczy także i filmów o tematyce współczesnej. Nawet najlepsze scenariusze i najbardziej pomysłowe tematy nie pomogą o ile nie będzie im towarzyszyć współczesność, a zatem i nowoczesność spojrzenia i cięcia. Nie będzie współczesny, wbrew pozorom, film ilustrujący pewne tezy dotyczące dzisiejszej rzeczywistości. Film musi niepokoić, musi odkrywać, musi ujawniać rzeczywistość. Wtedy będzie naprawdę współczesnym i pasjonującym. Bo sam temat wcale nie wystarcza. Dowodzą tego chyba nader przekonywująco „dzieła" w rodzaju „Do widzenia do jutra", „Szklanej Góry", „Drugiego człowieka" itd.

Cóż począć gdy z twórców ni z tego ni z owego wyłazi nieśmiertelna w Polsce Mniszkówna. Co uczyniła Mniszkówna? — zapytacie. Mniszkówna — odpowiemy — tworzyła mity wokół sprawy, o których nie miała zielonego pojęcia. Nasi filmowcy robią to samo, stworzyli mit o kraju, którego nie znają, który dla nich rozciąga się gdzieś między Sopotem a Zakopanem, usiany tu i ówdzie różnymi knajpkami, piwnicami i teatrzykami studenckimi. Jednym słowem zaczarowane filmowe koło. Mniszkówna snobowała się na arystokrację, filmowcy zaś na światek bohaterów Saganki i francuskiej „nowej fali". Mniszkówna sądziła zapewne, że jest wytworna, nasi filmowcy myślą prawdopodobnie, że są współcześni i nowocześni, bo cóż bardziej współczesnego od Saganki i Chabrola. Rezultaty tego stanu rzeczy — impas tzw. współczesnego nurtu naszej kinematografii. Brak autentyzmu, wtórność inspiracji, podyktowane prowincjonalnym snobizmem, przenoszenie na nasz teren zupełnie obcych nam schematów i motywów.

Zapomniano w Polsce o fakcie zdawałoby się powszechnie znanym, iż film jest sztuką rzeczywistości i bez niej nie potrafi się obejść. A przecież rozwija się w kraju znakomita szkoła filmu dokumentalnego. Niestety, nie ma ona jednak, jak widać, żadnego wpływu na film fabularny. Nasz dotychczasowy dorobek w dziedzinie tzw. filmu współczesnego nie wykracza więc poza ściśle określoną alternatywę — albo mniej lub bardziej inteligentne ilustrowanie pewnych tez, albo mitologizowanie rzeczywistości. Obie drogi prowadzą w ślepy zaułek.

Myliłby się jednak ten, kto na podstawie niniejszych wywodów wyciągnąłby wniosek, iż wystarczy pojechać w teren, nawiązać kontakt z tzw. masami, a sprawa współczesnego filmu zostanie raz na zawsze rozwiązana. Nic podobnego. Moim zdaniem, podkreślam to raz jeszcze, film współczesny to nie tylko temat, konflikt, bohaterowie, realia, ale to przede wszystkim, sprawa postawy twórcy, sprawa umiejętności prawdziwie współczesnego spojrzenia na rzeczywistość i wreszcie sprawa współczesnej metody tworzenia. Film współczesny to kamera penetrująca świat, kamera wątpiąca i poszukująca.

EWA SULIBORSKA

„Dotknięcie nocy"

Pewien fotograf z małego miasteczka robiąc zdjęcia poczciwym mieszczanom marzył o milionie. Jest to marzenie dość popularne. Nasz fotograf nie czeka jednak cierpliwie na wygraną wypełniając skwapliwie co tydzień kupon toto-lotka. Nasz fotograf planuje straszliwe morderstwo na poczciwie wyglądającej pani, która wozi czarnym samochodem okrągły milion do jakiegoś tam kombinatu. Któregoś pięknego dnia owinięty białą gazą, w gumowym płaszczu i rękawiczkach — wychodzi zza snopka zboża i oddaje kilka strzałów do pani i towarzyszących jej osób. Wszystko to dzieje się pod miastem, na jakiejś tam szosie. Potem, po kilku komplikacjach morderca zostaje schwytany przez świetnie działające organa naszej Milicji Obywatelskiej i w świetle reflektorów schodzi z usypiska śmieci, przywoływany przez niski głos pięknym zdaniem: „Jacenko, zejdź na dół".

Nie chciałabym by pomawiano mnie o złe zamiary. Jestem pilnym i wdzięcznym widzem kinowym. Jak większość odbiorców, filmy kryminalno-sensacyjne oglądam zawsze z satysfakcją. Ale film Barei i Ścibora Rylskiego, którego ukazania się oczekiwaliśmy przecież z dużym zainteresowaniem, trudno oglądać bez rozdrażnienia. Autorzy filmu jakby zapomnieli, że stylistyka kryminalno-sensacyjna wymaga na przykład lakonicznej i szybkiej narracji, nie znosi teatralności i dopowiedzeń, że przede wszystkim obowiązuje w niej żelazna konsekwencja i logika zdarzeń. W gatunku tym szczególnie przestrzegane winny być prawa dramaturgii, musi wyważone być narastanie napięcia, a zbyt długie efektowne ujęcia niszczą gwałtownie klimat i nastrój. Te podstawowe wiadomości przypomnieć trzeba nie ze szkolnej pilności w rozbiorze, czy zbytniej skwapliwości w roztrząsaniu zagadnień formy. Uzmysławiają one przyczyny niepowodzenia Barei.

Historia morderstwa, tak niesłychanie naiwnego i naiwnie relacjonowanego, każe myśleć o tym, że realność i prawdopodobieństwo zdarzeń filmowych musi być o wiele bardziej rzeczywiste od samej rzeczywistości. Pamiętajmy przecież, że scenariusz oparty został na autentycznych wydarzeniach, co dałoby się zapisać na plus filmowi, gdyby owe wydarzenia zasługiwały na szczególną uwagę. Wybierając autentyczne morderstwo zapomniano o tym, że najlepiej wybrać morderstwo efektowne. A takie jak wiadomo i w Polsce się zdarzają.

Jerzy Kozakiewicz zagrał mordercę, którego czyn nie powinien podlegać zwykłemu wymiarowi kary. Fotograf od pierwszego ujęcia sugeruje widzowi fakt, że morderca jest człowiekiem chorym, psychopatą nieodpowiedzialnym za swoje czyny. Jednakże w zasadniczej sprzeczności z tak zarysowaną postacią pozostaje zarówno przebieg akcji jak i pozostali bohaterowie dramatu. Film miał opowiadać bowiem o jakimś tam fotografie, jego dziewczynach i milionie, o jakimś tam morderstwie dla miliona. To nieporozumienie nie pozostaje bez wpływu na wartość filmu, na którym Jerzy Kozakiewicz niewątpliwie zaważył. Trudno zgłaszać pretensje do aktora. Trzeba kierować je pod adresem twórców, którzy jak się zdaje niezbyt dokładnie zdawali sobie sprawę z tego, jakim człowiekiem ów morderca miał być. Jego udziwnienie nie okazało się zabiegiem korzystnym, podobnie jak nie okazała się korzystną pretensjonalność tak trudna do zniesienia w kinie w ogóle, a szczególnie groźna dla filmu tego typu.

„Dotknięcie nocy" zaopatrzono nie tylko w pretensjonalny tytuł. Oceniając filmy kryminalne należałoby stosować ostrzejsze kryteria niż dla filmów, które mają ambitniejsze cele niż dwugodzinna zabawa w tropienie mordercy. Niestety, film kryminalny musi być zaopatrzony w świetny scenariusz, opanowany warsztat reżyserski i dobre aktorstwo. Nie są to wymagania zbyt wygórowane, sądząc po ilości bardzo dobrych filmów kryminalnych, jakie zostały zrobione. Film Barei warunków tych nie spełnia. Dojrzałość reżyserskiego warsztatu, za który zebrał Bareja tyle pochwał po „Mężu swojej żony", w jego następnym filmie pozostawia wiele do życzenia. Być może, nie najkorzystniej wpłynął na realizatorski warsztat Barei reżyserski mariaż ze Ściborem Rylskim współreżyserem i autorem scenariusza.

P. S. Staje się już coraz bardziej niepokojącym zjawiskiem, że Ścibor-Rylski, który jest kierownikiem literackim zespołu „Rytm" — w tym samym zespole popiera aż tyle swoich własnych scenariuszy, ba, próbuje jeszcze w tym zespole reżyserować filmy. Skutki tego, jak widać po „Dotknięciu nocy", są raczej opłakane — dla zespołu.

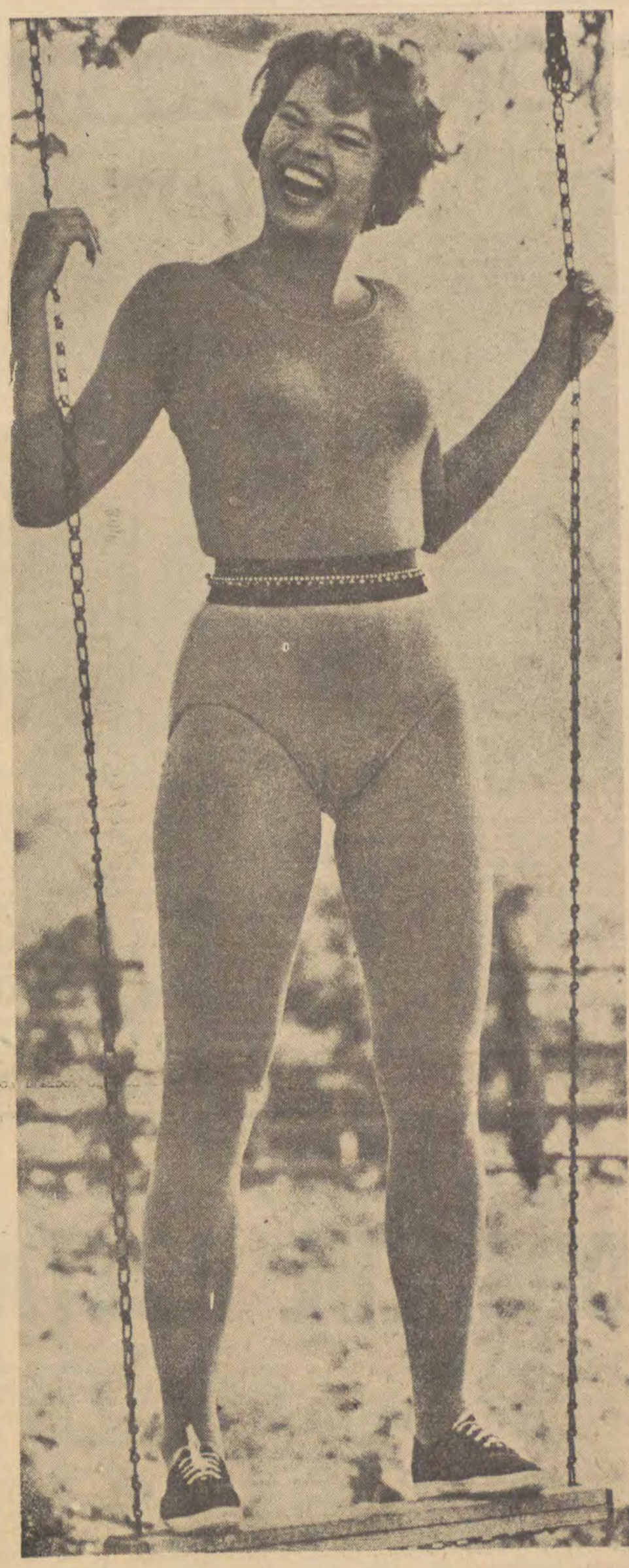

44-letni Frank Sinatra wypowie po raz trzeci w swoim życiu sakramentalne „tak", 25-letniej tancerce, Angielce urodzonej w Indii, dziewczynie, która tanecznym krokiem obiegła świat, udało się coś czego nie zdołały przeprowadzić sama Marylin Monroe ani słynna Lauren Bacall. Frank Sinatra, zdecydował się ponownie wstąpić na ślubny kobierzec.

Juliet Prowse tańczy wspaniale. Z powodu wysokiego wzrostu nie została przyjęta do słynnego Sadler's Wells Ballet. Rezygnuje więc z tańca klasycznego i występuje w tańcu nowoczesnym na deskach londyńskiego „Palladium". Została zaangażowana do filmu „Kankan". Jej szalony taniec podziwiał podczas swej wizyty w Hollywood sam Nikita Chruszczow. Trzeba przyznać, że nie był nim zresztą oczarowany. W „Kankanie" grał Sinatra.

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

JERZY DĘBSKI — WŁODZIMIERZ ŁUSZCZYKIEWICZ

TOMASZÓW był miastem karnym

„Z bezchmurnego nieba nie spadł tego ranka ani jeden płatek śniegu. Przy ścieżce, którą zwykle chodziliśmy do roboty, pod cmentarnym płotem leżały pachnące jeszcze świeżą farbą plakaty. Zostaw — powiedział kolega — gdyby ktoś zobaczył mogą być nieprzyjemności. Mogłyby być. Plakaty informowały bowiem o powstaniu na terenie Tomaszowa Maz. komórki PPR. Ludzie szli, bali się (Tomaszów miasto karne), ale czytali. Taki był mój i nie tylko mój pierwszy kontakt z Partią" — opowiada tow. Wodzyński.

Fakty, które mogliśmy poznać z różnych pisanych źródeł nabierają barw i życia, gdy słyszy się je z ust naocznych świadków, cichych bohaterów tamtych dni. Przybyliśmy do Tomaszowa z zamiarem dotarcia do takich ludzi. W Komitecie Miejskim PZPR dostaliśmy adresy i tak zaczęliśmy się uczyć historii Partii.

...Był luty 1942 r. W niespełna miesiąc od założenia PPR przez Marcelego Nowotkę, zaczęły się próby utworzenia w Tomaszowie Maz. komórki PPR. Nie było to zadanie łatwe. Tomaszów był miastem karnym. Co to znaczy? Po prostu w odwet za urządzoną w maju 1939 r. demonstrację antyniemiecką władze hitlerowskie wyjątkowo starannie „opiekowały się" tym miastem. Wzmógł się terror i represje. Tu była silniejsza niż gdzie indziej atmosfera strachu i nieufności. W tych warunkach szczególnie trudno było rozwinąć jakąkolwiek działalność, dlatego też pierwsze akcje ograniczały się do kolportowania konspiracyjnej prasy. „Trybuna Wolności" i „Gwardzista" z Warszawy przez Piotrków docierały do Tomaszowa przemycane z narażeniem życia przez łączników.

Organizowanie Partii w samym Tomaszowie ograniczało się początkowo do nawiązywania kontaktów między małymi grupami ludzi, do kontaktowania się z podobnymi grupami w Warszawie, Częstochowie i Piotrkowie. Mimo daleko posuniętej ostrożności dwa razy Niemcy wpadli na trop organizacji. Członkowie Partii rekrutujący się głównie z b. KKP-owców, doświadczeni i zahartowani w walce konspiracyjnej nie załamywali się częściowymi niepowodzeniami. Wreszcie w maju 1942 roku ukonstytuował się Komitet Powiatowy z Janem Banaszkiewiczem jako sekretarzem.

...Działalność organizacji nasila się. W lipcu na zebranie Komitetu Powiatowego przyjeżdża z Warszawy dwóch łączników. Jednym z nich jest Franek Zubrzycki, późniejszy pierwszy dowódca oddziału GL. Przyjechał tu nieprzypadkowo, właśnie wtedy omawiano sprawę formowania tomaszowskiego oddziału GL i programu jego pierwszych akcji. Celem ich było sabotowanie komunikacji i urządzeń niemieckich. Np. wysadzenie w powietrze ważnego mostu na Pilicy. Plonem tej narady było utworzenie 7-osobowej grupy gwardzistów.

6 sierpnia przyjechał do Tomaszowa pierwszy oddział GL, połączył się z grupą miejscowych gwardzistów i wyruszył do lasu. Niemcy musieli prawdopodobnie uzyskać jakieś wiadomości dotyczące tego przyjazdu, skoro w kilka minut po przybyciu do Tomaszowa oddział został otoczony przez przeważające siły wroga i rozbity. Zginął wtedy „Mały Franek" Zubrzycki i stary działacz komunistyczny z Tomaszowa — Pomykała; ciężko ranny Bałaziński (czołowy działacz tomaszowskiej PPR) został aresztowany i wywieziony do Oświęcimia, skąd już nie wrócił.

Był to dotkliwy cios dla organizacji. Pozostali członkowie rozpoczęli pracę od nowa. W celu uzbrojenia nowo tworzonego oddziału GL rozpoczęto we wrześniu akcję sprzedawania bonów 20-złotowych na Fundusz Obrony Narodowej. Zbliżał się jednak koniec. Niemcy, którzy chwilowo zrezygnowali z aresztowań osiągnęli swój cel. Udało im się wreszcie wpaść na trop czołówki partyjnej.

1 października zaskoczyli Komitet Powiatowy podczas posiedzenia. Aresztowano między innymi Jana Banaszkiewicza z żoną. Aresztowanych poddano „niemieckiemu śledztwu" czyli torturom. Skatowany, półprzytomny Banaszkiewicz decyduje się na krok ostateczny.

„Towarzysze — powiedział do współwięźniów — nie próbujcie mnie ratować. Muszę to zrobić".

Na wszystkie perswazje miał jedną odpowiedź. „Boję się, że nie wytrzymam i sypnę".

Wieczorem pożegnał się ze wszystkimi. A rano budzący się towarzysze zastali jego zwłoki. Jan Banaszkiewicz odebrał sobie życie. Wolał umrzeć niż wydać towarzyszy. Tak odszedł organizator i I sekretarz KP PPR w Tomaszowie. Po tych tragicznych wydarzeniach organizacja nie była już w stanie przedsięwziąć żadnej masowej akcji. Część aresztowanych wywieziono do Niemiec na roboty. Pozostali na wolności w obawie przed aresztowaniami zmieniają teren działania. Małe grupki, pojedyńczy członkowie przeprowadzają drobne akcje sabotażowe. Formalnie jednak organizacja w okresie lat 43-45 nie istnieje.

W 1945 r. wraz z oddziałami Armii Radzieckiej wracają to Tomaszowa niektórzy działacze. W tym trudnym okresie, partię, administrację, całe życie gospodarcze organizują właśnie oni. Mimo zdrady reakcji, skrytobójczej działalności band — partia rozwija się bardzo szybko. Komórki fabryczne łączą się w Komitet Powiatowy, na którego czele staje tow. Tuchowski. W lipcu Partia liczy już 300 członków, w grudniu 600. Reakcyjne bandy próbowały odstraszyć ludzi od PPR. Strzelano do najofiarniejszych działaczy, wysyłano anonimy z pogróżkami, groźno telefonicznie. Nie udało się im. Ludzie przestali się bać. Uwierzyli w siłę Partii. Rozpoczął się nowy etap walki.

* * *

I podobnie choć inaczej działo się w Rawie Maz. W styczniu 1942 r. przyjechała z Warszawy „Irka" (tow. Grudzińska) — sekretarz Okręgu Podmiejska-Lewa. Zaczęła montować pierwszą grupę partyjną. Początkowo były to tzw. trójki W ich skład wchodzili tow. tow.: Szymański, Olejnik, Kowalski, Adam i Wacław Walczakowie, Stańdo i inni. Jedna grupa działała na terenie kolonii Zofiów i Bronisławów, druga w Soszycach i Wilkowicach. Do spotkania między tymi grupami doszło wiosną 1943 roku. Było to dzieło „Szczupaka" Szymańskiego. Kiedy później nawiązano kontakt ze Skierniewicami i Łowiczem (łącznikami byli m. in. Artur i Francuz) zaczęto budować podstawy GL.

Jednocześnie już w styczniu 1943 r. nawiązano łączność z Józefem Gałką, który wraz z 7 towarzyszami (byłymi Akowcami) stworzył zalążki oddziału GL. Potrzebną broń i amunicję dostarczyły Skierniewice. Pierwsza akcja utworzonego w ten sposób oddziału miała miejsce przed żniwami tegoż roku. Było nią wykonanie wyroku na wójcie z Cielądza — Wichmanie. Do odczytania wyroku śmierci nie doszło. Wichman uzbrojony w pistolet bronił się zaciekle i zginął w tej walce. Tego samego dnia oddział rozbił posterunek granatowej policji. Gwardziści zdobyli tam broń i wypuścili na wolność więźniów.

Nie sposób tu wymienić wszystkich akcji jakie oddział Gałki „Kędziora" przeprowadzał z polecenia PPR. Trzeba jednak zaznaczyć, że z wszystkich nich wychodził jeśli nie zwycięsko, to przynajmniej bez znacznych strat.

Tak było na przykład latem 1944 roku:

Administrator jednego z majątków niemieckich na terenie którego przeprowadzono akcję, prosił dowódcę oddziału o nieniszczenie linii telefonicznej. W zamian za to zobowiązał się do nie powiadamiania władz. Oszukał. Kiedy tylko oddział opuścił majątek — zaalarmował posterunek żandarmerii. O godzinie drugiej w nocy dwie ciężarówki wiozące 60 żandarmów zaskoczyły maszerujący oddział. Na szosie wywiązała się walka. Później po kilku dniach trupy Niemców znajdowano w życie, w rowach. Oddział AL (liczący tylko 10 osób) wyszedł cało.

Jedną z największych i najefektowniejszych akcji oddziału „Kędziora" było rozbicie karnego obozu pod Rawą Maz. Znajdowało się w nim 300 osób więzionych za niewywiązywanie się z dostaw żywności dla Niemców. Akcja udała się w pełni. Wszystkich więzionych uwolniono, oddział nie poniósł żadnych strat.

Jesienią 1944 r. przybył do Rawy Maz. Józef Kalinowski, który z ramienia KC PPR objął kierownictwo Komitetu Powiatowego. On też po wyzwoleniu rozpoczął organizowanie władzy ludowej na tym terenie.

* * *

Tyle mówią fakty z dwóch tylko terenów. Drobne fragmenty wielkiej epopei. Tak było. Potem PPR-owcy zamienili broń na narzędzia pracy. Dziś tow. Bala pracuje w KW PZPR w Łodzi, tow. Wodzyński w Mazowieckich Zakładach Wełnianych, tow. Tuchowski jest rencistą — zastaliśmy go gdy malował sobie mieszkanie. Dziwią się, że interesują nas ich losy — nie widzą w nich nic niezwykłego. Postępowali tak jak powinni i to wszystko. Są o tym całkowicie przekonani.

MARIAN PIECHAL

ODSZEDŁ POETA

Odszedł od nas Władysław Broniewski. Był w literaturze polskiej symbolem poezji rewolucyjnej. Pod tym względem był u nas w ogóle pierwszym poetą świadomie proletariackim. Nie z pochodzenia, lecz ze świadomego wyboru, bo z pochodzenia był inteligentem. Niektórzy porównują rolę jego poezji w Polsce do roli poezji Majakowskiego w Związku Radzieckim. Oczywiście są uderzające podobieństwa, ale są też wyraźne różnice. Główna różnica leży w tym, że Majakowski wystąpił w okresie i po Rewolucji Październikowej, jego poezja była niejako uczuciową weryfikacją jej wyników, poszerzała ją jakby w wyobraźni szerokich mas i utwierdzała w ich świadomości, zaś poezja Broniewskiego w Polsce pełniła początkowo rolę werbla dopiero nadchodzącej rewolucji, funkcję mobilizatorki niezadowolonych z istniejącego ustroju, a potem już w nowej Polsce rolę i funkcję optymizmu społecznego oraz wiary w skuteczność zachodzących przemian na rzecz nowego porządku na świecie. Powiedziałbym więc, że poezja Broniewskiego miała trudniejszą niż poezja Majakowskiego rolę i bardziej złożoną funkcję społeczną choćby przez sam fakt jej działania w bardziej skomplikowanych warunkach społecznych.

Poza tym obu kształtowały psychicznie, począwszy od wczesnego dzieciństwa, te same wydarzenia historyczne: rok 1905 i powtórna fala wzrostu rewolucyjnego w okresie tuż przed pierwszą wojną światową, w czasie jej trwania i zaraz po jej zakończeniu. Tylko, że odmienność drogi poetyckiej Broniewskiego determinowały jeszcze inne, specyficznie polskie warunki rozwoju.

Pięć lat młodszy od Majakowskiego Broniewski, urodzony w 1898, widział pierwsze ruchy rewolucyjne w aspekcie nade wszystko patriotycznym. Taka była atmosfera w jego domu rodzinnym, tak usposabiała go obca, carsko-rosyjska szkoła w Płocku. Nic tedy dziwnego, że pod koniec pierwszej wojny światowej znalazł się w szeregach legionów polskich. Rozczarowanie nastąpiło później, bo musiało nastąpić, po skończonej wojnie na wschodzie, kiedy realizacja haseł patriotyzmu nie spełniała wbrew pierwotnym nadziejom obiektywnych w Polsce. W miarę upływu czasu hasła patriotyzmu stawały się czymś w rodzaju przeciwieństwa haseł rewolucyjnych.

W debiutanckim tomiku Władysława Broniewskiego wydanym w roku 1925 pt. „Wiatraki", a więc tuż przed przewrotem majowym, mamy jaskrawy wyraz wahań poety: wątpienia w dotychczasowe hasła patriotyzmu, i fascynacji, jeszcze niepewnej, hasłami rewolucji. Autor zajmuje tutaj postawę Don Kichota wobec rozpływających się mirąży dotychczasowych wartości, jak gdyby pustkę mielących wiatraków. Formalnie znać w tym tomiku przede wszystkim wpływy Sergiusza Jesienina, którego w tym czasie zaczyna Broniewski intensywnie tłumaczyć. A więc jeszcze jeden przyczynek do różnicy między poezją, która formalnie znajdowała się w kręgu „Skamandra", a poezją Majakowskiego, która była fermentem nowatorstwa.

„Wiatraki" stanowiły jednak zbiór wierszy z lat dawniejszych, bo oto wyszły z druku jesienią tegoż roku, cieniutki tomik wydany wspólnie z Ryszardem Stande i Witoldem Wandurskim pt. „Trzy salwy" zawiera nowe wiersze Broniewskiego niedwuznacznie deklarujące jego postawę rewolucyjną. Charakterystyczna pod względem deklaracji ideologicznej jest króciutka przedmowa — manifest do tych wierszy, pióra samego Broniewskiego: „Nie o sobie piszemy. Jesteśmy robotnikami słowa. Musimy wypowiedzieć to, czego inni ludzie warsztatu wypowiedzieć nie mogą. W bezlitosnej walce proletariatu z burżuazją stoimy zdecydowanie po lewej stronie barykady. Gniew, wiara w zwycięstwo i radość — radość walki — każą nam pisać. Niech słowa nasze padną jak salwy w ulice śródmieścia, niech odegrzmią echem w dzielnicach fabrycznych. Walczymy o nowy ład społeczny. Walka ta jest najwyższą treścią naszej twórczości".

W rok po przewrocie majowym, a więc w 1927 Broniewski wydaje drugi tom wierszy pt. „Dymy nad miastem". Jest to zbiór w pełni dojrzałych utworów, zarówno ideologicznie jak formalnie. Ujawnia dwa nurty: społeczny, w którym autor zdecydowanie określa swą postawę rewolucyjną, i osobisty, w którym liryzm służy ewokacji przeżyć indywidualnych. Te dwa nurty pozostaną do końca stałą cechą jego poezji, co spowoduje pomówienie jej autora przez krytykę o wewnętrzne rozdarcie czy pęknięcie psychiczne.

W roku 1929 wydał Broniewski trzeci z kolei swój tom, słynny poemat „Komuna Paryska", skonfiskowany zaraz po wyjściu z druku. Poznałem w tym czasie Broniewskiego w redakcji „Wiadomości Literackich", gdzie pełnił funkcje sekretarza. Był krzepki, bezpośredni, gwałtowny jak jego poezja. I jakiś wiosenny, jasne włosy, błękitne oczy, jasne, otwarte spojrzenie. Przyniosłem mu do zaopiniowania wiersz „Żeromski". Przeczytał od ręki, pochwalił, ale zauważył, że jego zdaniem najlepiej czci mistrza ten, kto mu się przeciwstawia.

Tymczasem płynęły lata i wzrastały represje wobec Broniewskiego, byłego legionisty, oświadczającego się zdecydowanie po stronie komunizmu. Mówiły o tym nie tylko jego wiersze, ale i działalność polityczna, oczywiście niejawna. Zdążył niejednokrotnie otrzeć się o areszt i więzienie. W słynnej celi 13 na Ratuszu prowokacyjnie jakby rozmawia na głos z Janem Hemplem o Magnitogorsku, czemu dał później wyraz w znanym wierszu. Do wybuchu drugiej wojny światowej wydał jeszcze dwa tomiki wierszy: „Troskę i pieśń" w roku 1932 i „Krzyk ostateczny" w roku 1938. Z tego pierwszego tomiku pochodzi znany szeroko w Polsce wiersz o naszym mieście pt. „Łódź".

Jan Lechoń kiedyś przy stoliku kawiarnianym powiedział do Broniewskiego: „Ty jesteś taka Maria Konopnicka w spodniach". Był to żart, ale zawierał coś z prawdy i wcale nie jest żadną uchybą dla Broniewskiego. Mówi o jego uczuleniu na sprawy niedoli społecznej i o jego żarliwości patriotycznej, co znalazło potwierdzenie w twórczości i losach osobistych poety podczas drugiej wojny światowej. Nie ułatwiał sobie wtedy życia, potrafił się narazić w twardym i surowym czasie, o czym świadczą jego przeżycia, których mniej lub bardziej bezpośrednim odbiciem są dwa zbiorki wierszy wydane na Bliskim Wschodzie: „Bagnet na broń" w roku 1942 i „Drzewo lamentujące" w roku 1946. Podczas drugiej wojny światowej był żołnierzem, walczącym przede wszystkim o wolność swojej ojczyzny, podobnie jak podczas pierwszej, nie przestając zarazem być poetą.

Po powrocie do kraju w roku 1947 zamieszkał w Łodzi. Tu otrzymał pierwszą z powojennych nagród literackich naszego miasta. Potem przeniósł się do Warszawy, wiele pisząc i coraz bardziej zapadając na zdrowiu. Przed wojną utrzymywał się przeważnie z przekładów głośnych powieści rosyjskich i radzieckich: Gogola, Dostojewskiego, Aleksego Tołstoja i innych. Po wojnie ze wznowień wierszy i tych przekładów oraz wydań nowych utworów, których ton, mimo zmienności i różnorodności tematycznej, był zawsze ten sam — dionizyjski, ekstatyczny. To cecha wyróżniająca jego twórczość, która stanowi stop przedziwnie szlachetnej próby dwóch elementów: komunizmu z patriotyzmem.

Te dwa elementy to zarazem dwa skrzydła, które nadały tak wysoki i szeroki w odzewie społecznym lot jego poezji. Tę poezję oddał w służbę społeczną swemu narodowi bez reszty i do końca. Był w tym podobny do naszych wielkich romantyków. Poezję swą nierozerwalnie związał z rewolucją, a rewolucję z patriotyzmem.

Ze względów technicznych następny odcinek „Kroniki skandalicznej Barbary Radziwiłłówny" zamieścimy w następnym numerze.

POSTRACH NOWEGO JORKU

umarł w Neapolu

Martwy Lucky Luciano na lotnisku w Neapolu

O jego życiu miano nakręcić film. Film, za który, jak mówią, obiecano mu niezłe honorarium w wysokości dwustu lub trzystu milionów lirów. Sam pomysł zrobienia filmu nie przypadł mu wprawdzie zbytnio do gustu, ale obiecana sumka stanowiła wcale łakomy kąsek. A dla pieniędzy Salvatore Lucania, znany szerszemu ogółowi jako Lucky Luciano, gotów był zawsze na wszystko. Petraktacje w sprawie filmu ciągnące się już przeszło rok, powinny były wreszcie dobić do szczęśliwego zakończenia w sobotę 27 stycznia 1962. Tegoż to właśnie dnia przybyć miał do Neapolu producent i scenarzysta amerykański Martin Gosch. Samolot z Rzymu przylatywał o godzinie 17-tej. Lucky przekąsił coś niecoś, poszedł do fryzjera (golenie i manicure), a potem wsiadł do swojej szarej „Giulietty" i bez większego pośpiechu pojechał w stronę lotniska Capodichino. Fryzjer zapytał go jak się czuje. Zastanowiwszy się, doszedł do wniosku iż właściwie nie czuje się zbyt dobrze, ale jakoś jeszcze wytrzyma.

Wszedł powoli na lotnisko rozglądając się instynktownie wokół siebie. Być może wyczuwał za swymi plecami czyjś cień, cień kogoś kto go śledził od momentu wyjścia z domu. Zdążył się już do tego przyzwyczaić.. przez tyle lat.. Jego postawa i wygląd zewnętrzny świadczyły o absolutnej pewności siebie.

Lucky Luciano w samochodzie otoczony, jak zwykle, tłumem gapiów

Elegancko ubrany, w okularach, miał na sobie ciemną marynarkę i popielate spodnie, białą koszulę, czerwony krawat i skarpetki, czarne buty. Dobrze dobrany kapelusz przykrywał jego siwe już, ale gęste i starannie uczesane włosy. Chociaż jego zdjęcia setki razy pojawiały się na łamach gazet, nikt nie rozpoznałby w tym wytwornym panu Lucky Luciano „cara występku", niepodzielnego władcę handlu narkotykami, prostytucji, włosko-amerykańskiego świata przestępczego. Od wielu lat nauczył się ukrywać swój surowy i kanciasty wygląd, charakterystyczny dla chłopów sycylijskich pod maską Włocha, który zdobywszy majątek w Ameryce wrócił do ojczyzny by cieszyć się swoim bogactwem. Sprawiał wrażenie starego byznesmana.

Samolot Goscha przyleciał punktualnie. Krótkie powitanie: „Hallo Lucky!" „Hallo Martin" i obaj panowie udali się do baru. Luciano wypił oranżadę, Gosch — kawę. Opuszczając bar Martin Gosch położył rękę na ramieniu Luciano i wyczuł, że ten drży. „Źle się czujesz, Lucky?" Stary gangster nie odpowiedział od razu. Lekko drżącą ręką wyciągnął z kieszeni marynarki małe złote pudełeczko otworzył je, wyjął pigułkę, połknął ją i dopiero wtedy powiedział „Tak, Martin". Były to jego ostatnie słowa. Wypowiadając je runął na ziemię. Oczy wyszły mu z orbit, obok leżały stłuczone okulary. Lekarz stwierdził zgon spowodowany paraliżem serca. Policja natychmiast przetrząsnęła kieszenie jego ubrania. Znaleziono paszport i prawo jazdy, złoty zegarek, złoty łańcuszek z medalionem św. Rity, 66.625 lirów, scyzoryk z masy perłowej, receptę kardiologa i pudełeczko z ośmioma pigułkami.

Tak więc Lucky Luciano umarł jak businessman zamierzający ubić dobry interes. Film jego życia odtwarzają teraz, niezależnie od dalszych planów Martina Goscha, wszystkie gazety Włoch i Stanów Zjednoczonych. Jest to historia pełna przygód, występku i gwałtu, zagadkowa, humorystyczna i patetyczna zarazem, historia, która może się podobać zarówno widzom niewybrednym jak i wyrafinowanym podobnie jak powieści Mike Spillane i filmy w rodzaju „Potępieńca".

Historia Lucky Luciano rozpoczyna się w roku 1907 kiedy to jego ojciec ubogi cieśla nazwiskiem Lucania, wyemigrował z rodzinnej Lercara Friddi do dalekiego Nowego Yorku. Salvatore miał wówczas 10 lat. Urwis o ostrych rysach twarzy i bystrym spojrzeniu szybko opanował żargon i obyczaje nędznych uliczek Lower East Side, dzielnicy Nowego Yorku położonej w okolicach mostu brooklyńskiego. Razem z innymi dziećmi bawił się w „napady" na pobliskie drug-stores. Przebrane za czerwonoskórych małe łobuziaki wpadały do sklepów, wywracając wszystko do góry nogami i zabierając przy okazji „łup" jaki przypadkowo wpadł im w ręce. Lucky chodził do szkoły a potem pracował jako goniec w fabryce ka peluszy. Zarabiał 5 dolarów tygodniowo i przez pierwsze dwa lub trzy lata przynosił je do domu jak przystało dobremu synowi. Ale pewnej soboty pokusa jaką budził w nim narożny saloon[1]) z szulernią w piwnicy i usłużnymi kobietkami okazała się nieodparta. Spróbował grać...

Na samym początku los uśmiechnął się do niego. Wygrał 244 dolary. To wtedy ochrzczono go przydomkiem „Lucky" czyli szczęściarz. On zaś dodał jeszcze do tego „Luciano", przekręcając nieco uczciwe, ojcowskie nazwisko Lucania. Teraz mógł sobie sprawić nowe ubranie, jedwabną koszulę i jaskrawe krawaty. Myśl zostania prawdziwym bią bossem, dysponującym łatwo zarobionymi pieniędzmi nie opuszczała go odtąd. Grał nadal, ale przegrywał. Zaczął więc pracować u handlarza narkotyków. Policja federalna aresztuje 22-letniego Lucky Luciano. Wyrok — 8 miesięcy poprawczaka. Mury domu poprawczego opuścił już jako dojrzały gangster, gotów bez namysłu rzucić się w piekło podziemi Nowego Yorku.

Wrócił do handlu narkotykami, pieniądze przychodziły mu łatwo. Zaopatrzył się więc oczywiście w nieseryjne auto i wytworne garnitury. Z czasem poświęcił się bardziej haniebnej „działalności": organizowaniu domów publicznych. Obrał przy tym zupełnie niewymyślną taktykę. Zaczepiał ekspedientki, młode i zgrabne urzędniczki, prawił im zwykle w takich okolicznościach komplementy, a potem proponował eleganckie kolacje. Te z nich, które dały się na to skusić wpadały w pułapkę, zostawały spojone alkoholem, odurzone narkotykami, straszone policją o ile nie zgodza się „pracować" dla Lucky.

W ten sposób Luciano stał się wkrótce posiadaczem sporej liczby domów publicznych na 7-ej Ulicy. Nawiązał kontakt z przemytnikami wódki (były to bowiem czasy prohibicji), przeskakując w zawrotnym tempie szczeble hierarchii nowojorskiego świata przestępczego. Na początku lat dwudziestych Lucky poznaje Joe Masseria „Pryncypała" i Franka Costello wschodzącą gwiazdę bootlegerów[2]) i hazardu. Ci dwaj zaliczali się do najgroźniejszych gangsterów Nowego Yorku. Nauczyli go „pracować z głową", nauczyli go „nowoczesnego" systemu organizacji, opartego na kupowaniu opieki nieuczciwych policjantów i skorumpowanych polityków, zbrodniczych przywódców związkowych i pozbawionych skrupułów adwokatów. Stał się wówczas jeszcze bardziej zimny, milczący i bezlitosny. Trzykrotnie aresztowany, w 1921, 1923 i 1926 r. za każdym razem zwalniany był z powodu braku dowodów i świadków. Nikt nie ośmieliłby się zeznać w sądzie jak to Lucky kazał oszpecić pewną oporną kobietę lub „zlikwidować" zbuntowaną prostytutkę. Sam Lucky opowiadał z butą w czasie przesłuchań: „Nigdy nie byłem zerem i wolałbym raczej umrzeć niż stać się zerem".

W r. 1929 obliczono, że Lucky Luciano zarabiał rocznie dwieście tysięcy dolarów, pracując razem z Joe Adonisem i Frankiem Ericksonem pod doświadczonym kierownictwem Franka Costello. Widywano go w wytwornych, nieseryjnych Cadillacach i Buickach, w otoczeniu świty kobiet obsypanych taką ilością biżuterii, że można by nią śmiało wypełnić wystawę największego nowojorskiego jubilera Tippany. Ubierał się bardzo elegancko, ale jego błękitnawe policzki, krzaczaste brwi, czarne jak smoła włosy przywodziły na myśl „odświętnie ubranego zbója".

Wieczorem 16 października 1929 r. w Manhattanie „zbój" odziany w wielbłądzi płaszczyk i szaro-perłowy kapelusz spacerował sobie bez zachowania należytych środków ostrożności, oczekując przybycia jednej z dam swego serca. Nagle rozległ się gwałtowny pisk hamulców. Trzech potężnie zbudowanych facetów wyskoczyło z auta i zanim Lucky zdołał uczynić jakikolwiek ruch, wykręcono mu ręce do tyłu i wrzucono do samochodu. Nazajutrz o świcie, policjant pełniący służbę na Staten Island ujrzał jakieś chwiejące się widmo, które jęczało wzywając pomocy. Widmo miało ubranie całe w strzępach, wargi napuchnięte, oczy jak karczochy, twarz i szyję pokryte zakrzepłą krwią, plecy rozdarte ostrzem noża, przeguby rąk i kostki u nóg pocięte i potłuczone. Był to Luciano. Raz jeszcze okazał się „szczęściarzem" unosząc życie z tej mrożącej krew w żyłach przygody.

W szpitalu, Lucky opowiadał powściągliwie, że zawieziono go w jakieś odludne miejsce, bito jak materac, zawieszono za ręce i nogi na żelaznym drucie, kłuto w plecy sztyletem i wreszcie rzucono na Staten Island sądząc nie bez kozery iż po tylu „zabiegach" dawno wyzionął ducha.

Kim byli jego prześladowcy? Tego Lucky nigdy nie zdradził. I do dziś dnia trwają spory czy byli to członkowie konkurencyjnego gangu czy też agenci policji, pragnący pomścić jednego ze swoich towarzyszy, którego córkę zepchnął Luciano na złą drogę.

Wydarzenie to ściągnęło na Lucky uwagę prasy.

Nadszedł rok 1936. Na horyzoncie Nowego Yorku pojawiło się dwóch „apostołów moralności". Byli to: burmistrz miasta Fiorello La Guardia i prokurator okręgowy Thomas Dewey. Dla Lucky Luciano wybiła ostatnia godzina. Dewey miał wysokie aspiracje (W roku 1948 kandydował na prezydenta z ramienia partii republikanskiej) i skłonił 110 zmaltretowanych cór Koryntu do świadczenia przeciwko Lucky. Lucky uciekł na Florydę, ale policja dosięgła go i tam. Wiosną 1936 r. stanął wraz z 8 wspólnikami przed sędzią sądu najwyższego Philipem Mc Code. Dewey był nieubłagany, a świadkowie oskarżenia po raz pierwszy odważyli się otworzyć usta. Ameryka dowiedziała się nareszcie ku swemu wielkiemu przerażeniu iż w najnowocześniejszym mieście świata, w cieniu Empire State Building, w najpodlejszy sposób wyzyskuje się tysiące kobiet, gimnazjalistom sprzedaje się narkotyki, szantażuje się kupców, okrada się ludzi przy pomocy loteryjek i tanych nielegalnych gier, mordując każdego, kto ważyłby się na bunt. Jedna z dziewczat „pracujących" w domach publicznych Luciano zeznała iż zmuszono ją do „obsługiwania" trzech tysięcy „stałych klientów". Mówiono o faktach nie nadających się do powtórzenia. Pod koniec procesu jedna z tych kobiet — świadków znaleziono we własnym mieszkaniu, zemdloną z naznaczonymi na brzuchu inicjałami Lucky Luciano. Na jej plecach zaś widniały liczby 12 i 3. Ale solidny Irlandczyk sędzia Mc Cook nie dał się zastraszyć i ogłosił wyrok skazujący gangstera na karę „od trzydziestu do pięćdziesięciu lat więzienia." Luciano osadzony został w więzieniu w Dannemora.

Wydawało się więc, że gwiazda Lucky Luciano zgasła na zawsze. Tymczasem jednak Frank Costello czynił wszystkie możliwe starania by uwolnić swego „druha" z więzienia. Udało mu się to dopiero już po zakończeniu drugiej wojny światowej. Thomas Dewey, który w międzyczasie został gubernatorem Nowego Yorku, ułaskawił w 1946 r. gangstera, do którego skazania głównie się przecież przyczynił. Ten trudny do wyjaśnienia fakt wywołał oczywiście lawinę komentarzy. W świecie przestępczym panuje przekonanie, że swoje ułaskawienie zawdzięcza Lucky temu iż właśnie on zapewnił regularną pracę nowojorskich dokerów i dzięki swoim stosunkom z Mafią, oddał nieocenione usługi amerykańskim oddziałom desantowym na Sycylii. W tej nieprawdopodobnej na pozór wersji tkwi źdźbło prawdy. Pomimo oficjalnych zaprzeczeń władz wojskowych istnieje publiczny raport mówiący o „wielkiej użyteczności" Lucky Luciano w czasie wojny.

Ale Thomas Dewey uwalniając gangstera nie chciał go więcej widzieć w granicach Stanów Zjednoczonych. Ameryka chciała się na gwałt pozbyć importowanych przestępców odsyłając ich do Włoch, skąd wyemigrowali przed laty w poszukiwaniu fortuny. Przerażony perspektywą deportacji do ojczyzny, gdzie nie mógłby kontynuować swojej przestępczej działalności, Lucky próbuje uciec na Kubę. Ale w 1947 zmuszono go do poddania się. Pojawił się przelotnie w rodzinnej Lercara Friddi, starał się przenieść do Rzymu i wreszcie wylądował w Neapolu, posłuszny agentowi policji, który b. szybko wytłumaczył mu znaczenie terminów „nadzór specjalny", i „ograniczenie swobody ruchów".

Jego pobyt w Neapolu trwał 15 lat. Tryb życia Luciano uwieczniony został przez setki fotografów i reporterów. Lucky na wyścigach, Lucky — właścicielem sklepu, Lucky śledzony przez agenta Federalnego Biura Narkotyków Charlesa Siragusę, Lucky na obiedzie w restauracji, Lucky na spacerze.

W Neapolu, znalazł sfilistrzały niejako i zgaszony Lucky Luciano jedyną, prawdziwą miłość swego życia.. Tancerka teatru San Carlo Igea Lissoni porzuciła rodzinę i przyjaciół i zamieszkała w luksusowym apartamencie emerytowanego gangstera. Pod błękitnym niebem Neapolu spędzili razem dziesięć szczęśliwych lat, nie przejmując się zbytnio ciągłymi nagabywaniami ze strony pedantycznego Siragusy i policji włoskiej. „Nikt mi nie może nic dowieść" — mawiał Lucky w owych czasach. „Mam czyste ręce" — pokazywał swe świeżo wymanikurowane palce, dodając z dumą: „Nie chciałem skończyć jak mój ojciec, który umarł z przemęczenia. To wszystko".

Ale w październiku 1959 Igea Lisson umarła na raka. Lucky sprawiał wrażenie człowieka skończonego. Dysponował jeszcze pokaźnymi sumami pieniędzy, przysyłanymi mu punktualnie przez bank szwajcarski. Mówią, że otrzymywał 75 tysięcy dolarów rocznie od swoich przyjaciół ze „związku" i wpłacił do skarbu państwa dobrych parę milionów. Inwestował pieniądze w fabrykę sprzętu metalowego i spekulował placami budowlanymi. Rzadko opuszczał swoje apartamenty, w których mieszkał sam. Towarzystwa dotrzymywała mu jedynie stara służąca. Nie palił już ani nie pił — ściśle przestrzegał diety. Bywał jeszcze na wyścigach konnych, ale grał mało i bez specjalnego entuzjazmu. Unikał spotkań z kolegami po fachu deportowanymi jak on z Ameryki. Cieszyły go natomiast nieczęste wizyty brata, członka z Lercara Friddi i kuzyna, księdza, którego obdarzał licznymi dotacjami. Zmęczony i znudzony swoją popularnością pragnął zamieszkać ostatecznie w małej willi w Santa Marinella. Gwiazda wspaniałego ongiś gangstera we Włoszech zgasła, zanim jeszcze dosięgła go śmierć fizyczna.

Podobny los spotkał zresztą prawie wszystkich jego starych przyjaciół. Frank Costello przebywa w więzieniu. Albert Anastasia, podziurawiony jak sito — w Park Sheraton Hotel. Joe Adonis deportowany został do Mediolanu gdzie prowadzi obecnie restaurację. W tej sytuacji jedynym dobrym interesem jaki mógł jeszcze zrobić Lucky był ów film. Pragnął bardzo aby film oddał właściwie „wrażliwość jego duszy" i poczucie humoru. Tym razem los spłatał mu figla i przeszkodził w realizacji jego zamiarów. Ale w istocie raz jeszcze okazał się „szczęściarzem" umierając tak „czysto" bez krwawych plam na ubraniu i dziur w starym ciele.

1) saloon — amerykańska knajpa.

2) bootleger — przemytnik alkoholu w okresie prohibicji.

ROBERT GLUTH

„Donoszę że Stendhal robi durzo bykóf"

Szanowny Redaktorze!

Rozmawialiśmy ostatnio o tej smutnej sprawie. Powiedział Pan wówczas: „proszę o tym napisać". Piszę więc — a nie moja wina, że historię wypada zacząć bardzo osobiście.

Książki... Te niewielkie istoty w szarych, bibliotecznych uniformach — stwarzają od wieków własne, niezależne światy. Jakże fascynujące są podróże do nich, przez granice czasu i przestrzeni! Wiedzą o tym starzy, chorzy ludzie, wiedzą ci, którym dzień minął źle i młodzi, żądni wrażeń i moi rówieśnicy...

W codziennym obcowaniu z książką zdarza się jednak nieprzewidziany zgrzyt. W takim momencie czuję — spoglądając na zadrukowaną stronę — że mnie „zła krew zalewa", a bywa także — woła mnie matka i mówi: „spójrz, jeszcze jeden wandal!" Z takich właśnie momentów — jak Pan wie — narodził się dzisiejszy list.

DYSKUSJA ANONIMA-IDIOTY Z PANEM DE LA MADELENE

W każdej książce z biblioteki publicznej — na wewnętrznej stronie okładki — przyklejona jest kartka z króciutką odezwą do czytelnika. Czasami jest to krótki list, zaczynający się od słów „książka mówi do ciebie" — czasami ulotka, która przypomina, że na wynalazek druku ludzkość czekała tysiące lat, a książka stała się najdoskonalszym środkiem upowszechniania piękna i mądrości ludzkiej... W każdym wypadku „odezwa" kończy się apelem o szanowanie książki, o troskliwe przedłużanie jej życia w wędrówce od człowieka do człowieka.

Nie jest żadną tajemnicą, że wśród rosnącej stale rzeszy czytelników zdarzają się ludzie niechlujni, mało kulturalni, a nawet zdecydowani wandale. Świadczą o tym powyrywane karty, zasmolone okładki, „ośle uszy" na brzegach stron... Są również jednak i przekreślenia tekstu, dopiski i gryzmoły na marginesach. I tu wkraczamy właśnie na teren zjawisk znacznie bardziej skomplikowanych, aniżeli brak higieny osobistej czy elementarnej kultury czytelnika. Nie zawsze zaskakujące zjawiska społeczne występują „z hukiem i trzaskiem". Bywa, że wegetują niespostrzeżone prawie — lecz jest to bujna wegetacja drapieżnego chwastu.

O, jakież pole do badań dla socjologów i psychologów — te dziwaczne wypociny anonimowych „recenzentów" wpisujących się do książki z biblioteki publicznej! Wzrost ilości owych zapisków nie jest trudny do wytłumaczenia: rośnie po prostu liczba czytelników. Interesujący dla mnie jest inny problem: zjawisko niebywałej nonszalancji w stosunku do utworów literackich i efektów dociekań naukowych (tak, również i tam!), niesłychana wprost pewność siebie u osób „ozdabiających" marginesy uwagami i — pożal się Boże — złotymi myślami. Daje się tu wyodrębnić z setek nagryzmolonych uwag osobliwy zbiór poglądów na życie i sztukę.

„Walczymy z tym jak możemy" — powiada kierowniczka biblioteki, lecz — oczywiście — środki tej walki są raczej skąpe: przeważnie zwykła myszka-gumka do ołówka, czyli likwidowanie skutków, nie przyczyny. Na dobrą sprawę — cóż więcej może zrobić personel biblioteczny! Wpajać od małego szacunek dla osiągnięć ludzi myślących? Zwalczać nonszalancką pewność siebie? Prowadzić wykłady z historii, literatury, nauk społecznych itp. na różnych poziomach? Zdradzę Panu, Redaktorze, pewną szokującą tajemnicę: biblioteka o której piszę, ma około 60 proc. abonentów rekrutujących się ze środowisk inteligencji. To nadaje całej historii trochę pikantnego posmaku — ale proszę nie sądzić, że inne biblioteki różnią się od opisywanej, pod względem ilości uwag anonimowych „recenzentów".

Uwagi są różnorodne: od niecenzuralnych słów bez związku z treścią (chyba z zemsty, że książka nie przypadła do gustu?) — poprzez absurdalne „manifesty polityczne" — do „złotych myśli" tudzież sądów o autorze i bohaterach książki.

Nie wybieralem egzemplarzy książek szczególnie poczytnych — bralem do rąk co popadło — aby się przekonać, jak bardzo „operatywni" są anonimowi autorzy uwag. Co druga książka posiada dopiski — mimo energicznego posługiwania się przez personel wspomnianą „myszką" (ostatecznie, bilbiotekarki nie mogą jedynie siedzieć i wycierać!). Pan pozwoli, że przedstawię kilka smacznych przykładów?

Oto książka „Pan na Piaskowym Zamku". Autor — Jules Francois baron de la Madelene, dziewiętnastowieczny pisarz, demokrata, patriota i republikanin. Przedmowę napisał Aragon. Z oboma „uciął sobie polemikę" pewien Anonim-Idiota, opatrując powieść i przedmowę kilkunastoma lapidarnymi uwagami.

Pisze w przedmowie Aragon: *„jedno z arcydzieł powieści XIX wieku"*. Na to Anonim: *„daleko mu do arcydzieła"*. Aragon: *„jest to para kochanków* (mowa o Sabinie i Marcelu) *jedna z najbardziej wzruszających jakie zna historia"*. Anonim: *„gruba przesada"*.

Aragon: *„a jednak siła tej miłości jest tak potężna jak woń ziemi, kwiatów..."* Tu Anonim zaznacza: *„bardzo słaba"*.

Anonim jednak nie tylko ocenia — on również dziwi się. Bo oto w powieści natrafiamy na zdanie: *„pito więc za Polskę, za sztuki wyzwolone, za naród francuski, za cesarza..."* W tekście „cesarz" został podkreślony ołówkiem, a surowy „podkreślacz" dopisał jeszcze: *„jakiego cesarza?"* Tłumacz napisał: *„rzeźby walały się w kurzu"*. Anonim jest oburzony i pisze: *„poniewierały się"* — diabli wiedzą co miał na myśli. Tak już do końca: butne pytajniki ignoranta, przemądrzałe „oceny", krechy wandala.

W dwutomowym dziele Władysława Łozińskiego „Prawem i lewem" (Obyczaje na Czerwonej Rusi w pierwszej połowie XVII wieku) dociera ołówek jakiegoś innego Anonima-Idioty do wnętrza traktatu, z wołowymi literami „komentarza". Władysław Łoziński pisze: *„Aleksander Kostka, zwany Napierskim, późniejszy herszt buntów chłopskich na Podgórzu w Krakowskiem..."* — Anonim dodaje zaś komentarz: *„uznany za bohatera w tym ustroju"*. Człowiek zachodzi w głowę, jaką pasją ogarnięty był nieszczęsny Anonim — jak przebił się przez ciekawy lecz poważny przecież tekst, aby kretyńsko uwiecznić się na którejś z kolei stronie!

O CZYM KUPRIN ANI TŁUMACZE NIE WIEDZIELI

Czasem anonimowi „recenzenci" uzyskują efekty niespodziewanie komiczne — ale ochota do śmiechu mija, gdy człowiek pomyśli o zwierzęcej powadze, z jaką na pewno „uwieczniali" brednie. Przychodzi refleksja: przecież to pisał jakiś czytelnik — konsument literatury — który w pewien sposób dzieło sobie przyswajał. Gdzie są źródła i granice owego tupetu i analfabetyzmu (przecież to analfabetyzm, mimo znajomości znaków pisarskich).

Aby nie popadać w gołosłowność — kilka przykładów z „Utworów wybranych" Aleksandra Kuprina, o których uroku nie muszę Pana zapewniać. W opowiadaniu „Olesia" znajdujemy tam kapitalny dialog panicza z Poleszukiem Jarmołą. Jarmoła mówi: *„ot, patrzę sobie, jak panycz pisze. Żebym ja tak mógł... Nie, nie, nie tak jak panycz. Choćby tylko familię..."* Anonimowy „purysta językowy" przekreśla w tym miejscu słowo „familia" i pisze: *„poprawnie ma być — nazwisko"*. Ten sam Anonim, w opowiadaniu „Moloch", przy słowach *„powietrze pachnie dobrym, mocnym winem"*, zaznaczy na marginesie kulfoniastymi literami: *„bujda, fantazja!"* Ten sam „komentator" łaskawie podkreśli Kuprinowi kilka zdań i napisze obok: *„dosyć jasne"*.

Bierzemy do rąk codziennie jakąś książkę. Częstokroć pochodzi ona z biblioteki publicznej. Widzimy te dopiski, „oceny" i przekreślenia — tylko jakoś nie zwracamy na nie uwagi. A one kryją w sobie klucz do jakiegoś osobliwego zjawiska. Na marginesach książek odczytać można pewien niedostatek. Niedostatek „akcji" upowszechniania kultury? A może oświaty?

Co z tym fantem zrobić?

LITERATURA WSPÓŁCZESNA

„KSIĘGOPOL" D. 29
WARSZAWA
KARMELICKA 15

Kandydaci na kochanków	zł. 2.50
Pierwszy grzech—słodki kaprys księżny	„ 1.90
Pensjon. Domu Schadzek — Belle de jour	„ 3.00
Mnisi i kobiety—księga erotyczna	„ 5.00
Czy to grzech? — Głód zmysłów — Rozkosze miłości	„ 3.50
Encyklopedja seksualna (życie płciowe) Blocha	„ 13.00
Idealna kochanka	„ 2.00
Fizyka miłości płciowej	„ 3.20

na koszty przesyłki załączyć zł. 1.50.

Ulubiony zestaw książek Anonima, w których nie czyni żadnych poprawek.

Dalszy ciąg ze str. 1

władze francuskie nie chciały żadną miarą przyznać. Ministerstwo spraw wewnętrznych ogłosiło następujący komunikat: „Ubiegłej nocy dokonano zamachów w różnych miejscowościach Algierii. Sprawcami są pojedyńcze osoby lub niewielkie, izolowane grupy... Jeśli idzie o ogół ludności, to panuje wśród niej całkowity spokój".

Pojedyńczy sprawcy grasują w trzech algierskich departamentach Francji — a więc jest to sprawa wewnętrzna i dosyć błaha, przejściowa. Jeżeli nawet wywiad francuski, operujący na terenie Algierii, wiedział już co się naprawdę święci, to zatrzymał te informacje dla siebie. Front Wyzwolenia Narodowego — którą to nazwę usłyszeli Francuzi po raz pierwszy — opublikował wprawdzie swój manifest już w pierwszym dniu powstania, ale wygodniej było wtedy przyjąć tezę, że jest to jakaś organizacja przerzucona z zagranicy, być może z Casablanki, gdzie w tym samym czasie również dokonano zamachów bombowych.

Mamy prawo domyślać się, że w tych warunkach armia francuska nie wykazała zbytniego zainteresowania algierską wojną. Tym bardziej, że w chwili wybuchu powstania na terenie Algierii wojska prawie nie było. Wprawdzie po kilku dniach skierowano z metropolii pierwszą partię w sile 40 000 żołnierzy, ale zadania, jakie przed nią postawiono, sprowadzały się do akcji o charakterze policyjnym przeciwko „zbrodniczym jednostkom".

Czas jednak biegł i walka partyzancka FLN rozwijała się coraz szerzej. Nie ma potrzeby rozwodzenia się nad jej taktyką, znamy te sprawy aż nadto dobrze z niedawnej przeszłości okupacyjnej. War to jednak tu wtrącić, że już w pierwszych miesiącach wojny runęła mozolnie konstruowana teza francuskich „znawców" Algierii, zgodnie z którą muzułmanie nie są zdolni „z natury" do zorganizowanej i konsekwentnej walki na dłuższą metę. Okazali się zdolni — i to bardzo. Siły ich rosły, jakkolwiek nikt nie potrafił wtedy wymienić żadnej konkretnej liczby bojowników; w każdym razie w akcji zaangażowanych było co najmniej kilka tysięcy ludzi, ruchliwych, rozporządzających sprawną łącznością, korzystających z poparcia muzułmańskiej ludności.

Operacje policyjne armii francuskiej nie dają wielkiego rezultatu. Przeczesuje się teren, ale zęby grzebienia rozstawione są zbyt szeroko, partyzanci w praktyce bywają nieuchwytni. Lepsze już nawet efekty uzyskuje sama policja wyłapując podejrzanych i wyciskając z nich zeznania. Wiosną 1955 roku jest już w Algierii 100 000 żołnierzy i oficerów, w końcu tego roku — prawie 400 000. A więc to jednak wojna.

Nie doraźna akcja policyjna, lecz normalny front...

Tyle tła. Wystarczy tego, żeby zrozumieć, skąd na algierskim horyzoncie pojawia się nagle pojęcie walki „o honor Francji". Jeżeli pierwsze miesiące kampanii algierskiej mogły wywoływać wśród oficerów oburzenie na rząd, który użył ich do tak nędznych, policyjnych celów, to teraz wypada im już zgoła inaczej podejść do całego zagadnienia. Trzeba ocalić honor Francji — czyli wygrać tę wojnę jak najszybciej i za wszelką cenę!

Skąd jednak to dziwne słówko — ocalić? Czyżby Arabowie zagrażali IV Republice? O tym, oczywiście, nie ma mowy. Czas najbliższy pokaże przecież, że mimo utraconych wpływów w innych koloniach afrykańskich, Francja, ta prawdziwa, trwać będzie niewzruszona. Tu trzeba ocalić kogoś zupełnie innego — samego siebie...

Niezwykle trudno przytoczyć jest konkretne dowody na istnienie jakiegoś kompleksu w głowie jednego człowieka, a jeszcze trudniej udowodnić, że egzystuje on w całym zbiorowisku głów. Dowody takie jednakże się znalazły, zwozili je reporterzy, głównie gazet zachodnio-europejskich i amerykańskich, powracający z burzliwego tournee po Algierii. Pomiędzy wierszami swoich notatek, sporządzanych podczas rozmów z przedstawicielami armii, odczytywali ślady pewnych myśli, które interlokutorzy prawdopodobnie starali się ukryć. Oto armia francuska od czasów pierwszej wojny światowej ponosi same klęski. Ponurym echem wraca rok czterdziesty, a fatalną czkawką odbijają się Indochiny. A więc kompleks kolejno przegrywanych wojen — i teraz Algieria, ostatnia szansa rehabilitacji...

W tym miejscu wypada jednak podkreślić, że kompleks wojskowego honoru — aczkolwiek w armii bardzo popularny — niejednako załamuje się w umysłach poszczególnych ugrupowań armijnych i w związku z tym bardzo różne wywołuje reakcje. Armia metropolitarna nie jest ciałem jednolitym; składa się niejako z trzech podstawowych elementów, o których trzeba mówić osobno.

Pierwszy, to „szara brać" z poboru; o tych chłopach, przeważnie z południa Metropolii i o robotnikach ze wszystkich już departamentów — niewiele tu jest właściwie do powiedzenia. Chyba tylko to, że wojna algierska demoralizuje ich tak samo zresztą jak każda inna wojna, zwłaszcza taka, w której ma się do czynienia z partyzantami. Metody walki partyzanckiej nie należą, jak wiadomo, do nazbyt słodkich. Utrata kolegi, zaatakowanego gdzieś na odległym posterunku, strzały z zasadzki — to oczywiście wywołuje wewnętrzny sprzeciw u szeregowego żołnierza i wzbudza solidarną nienawiść do wroga. Ale faszyzmu jeszcze nie rodzi — jakkolwiek partyzantami są „czarne stopy", czyli muzułmanie uznawani nieoficjalnie za niższy gatunek człowieka...

Druga grupa, to oficerowie zawodowi, znowu niejednacy w swoich życiowych koncepcjach. Podstarzali kapitanowie (przeciętny ich wiek w armii francuskiej wynosi 44 lata) dobrze spełnili kiedyś swój obowiązek żołnierski w Ruchu Oporu i niewiele mają sobie dziś do wyrzucenia. Lekko rozdrażnieni, ale i znudzeni zarazem, odrabiają swoje taktyczne kawałki na wysuniętych placówkach Algierii, a w nieprzyjacielu starają się widzieć raczej kombatanta zręcznego, nawet godnego podziwu. A skądże to taka wielkoduszność? Głównie stąd, że w czasie drugiej wojny światowej byli owi kapitanowie jeszcze podoficerami, albo co najwyżej porucznikami i z tego bliskiego dystansu w hierarchii dokładnie przyglądali się żołnierzom: pamiętają wśród nich niejednego Araba czy Berbera z Algierii, który walczył przeciwko hitlerowcom we wspólnych szeregach, i, dalibóg, czynił to nienajgorzej. W dzisiejszych posunięciach oddziałów algierskich Francuzi rozpoznają niejednokrotnie własną szkołę, swój osobisty instruktaż. Czy wypada krytykować takiego przeciwnika? Raczej należy go chwalić — jego ruchliwość, sprawną łączność, skuteczne prowadzenie wywiadu — tym bardziej, że samemu się często dostaje od niego po nosie. Ci właśnie ludzie pierwsi nazwali kampanię algierską „głupią wojną bez wyjścia". Od początku zdawali sobie sprawę z nieskuteczności własnych akcji, które porównują do miotania się słonia tu i tam kąsanego przez rój much...

Generał Salan

OAS od podszewki

Wyraźna linia podziału grupy zawodowców przebiega gdzieś na stopniu oficera sztabowego — i ci ostatni dopiero, ludzie na szczeblu operacyjnym, są najbardziej interesującym obiektem dla naszych rozważań. Sztandarową postacią tej kasty był i jest generał Salan.

Życie nie zna schematów, ale zna pewne reguły. Jeżeli wśród oficerów niższych rangą polityka jest raczej niezbędnym atrybutem salonowego wychowania i z tej racji nie bywa traktowana zbyt poważnie, to dla kasty pułkownikowskiej stanowi ona niemniej istotną część ich osobowości, niż samo rzemiosło żołnierskie. Znacznie większa była ich odpowiedzialność za klęskę roku czterdziestego i za Indochiny — więc i kompleks jest głębszy, drastyczniejszy, dalej wybiegający w sferę polityczną. Przyjrzyjmy się na przykład poglądom takiego pułkownika Godard, skazanego później zaocznie w procesie barykad, albo pułkownika Trinquier, który w 1958 roku dał sygnał do tak zwanego puczu majowego w Algierze.

Trudno o nich powiedzieć, że są tylko antykomunistami. Owszem, jak najbardziej — ale... Dla usprawiedliwienia klęsk algierskich nie wystarczy w tym wypadku widmo komunizmu. Kompleks przegranej wojny przeradza się tu w kompleks okrążenia. Bo któż to — ich zdaniem — nie spiskuje przeciwko Francji, a przeciwko „Francuskiej Algierii" w szczególności! Moskwa — rzecz jasna. Ale także Nasser i cały świat arabski — na swoją rękę. A oprócz tego Amerykanie, którzy chcą wypchnąć Francję z ich kolonii, oraz Anglicy — z tego samego powodu.

W sumie więc kopia hitlerowskich obsesji „okrążenia Rzeszy", teoria pociągająca za sobą konsekwentne żądania rozbudowy armii, propagowania ducha militaryzmu etc. etc. — kopia w tym może jedynie odbiegająca od pierwowzoru, iż nie nawołuje się o nową przestrzeń życiową dla Francji, lecz poprzestaje na postulacie utrzymania za wszelką cenę terytoriów kolonialnych czy półkolonialnych, w tym wypadku „Algierii Francuskiej". Ani kroku w tył! — wołali „algierscy pułkownicy" — Gdyby Francja zdecydowała się zrezygnować z honoru i oddać Algierię muzułmanom — pierwsi pójdziemy do partyzantki!

Maksyma ta, powtarzana oficjalnie i nieoficjalnie, jeszcze kilka lat temu wydawała się błazeństwem bez pokrycia; dziś wiemy, że wszystkie te zdradzieckie wobec własnego kraju hasła stały się rzeczywistością... Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Pozostał jeszcze do omówienia trzeci element armii, bez wątpienia najbardziej charakterystyczny dla wojny w Algierii: spadochroniarze.

Na arenie algierskich wydarzeń pojawiają się dosyć wcześnie. Jest ich w sumie 20 tysięcy, ale dali się we znaki (i Algierczykom i umiarkowanym Francuzom) jak gdyby ich było pół miliona! Reporterzy z niejakim przerażeniem opisują te ponure i dziwaczne zarazem indywidua, ich czerwone, zielone i czarne berety, centkowane kombinezony, koci chód, zamiłowanie do maskotek i błyskotek, niewypowiedzianą brutalność, tupet wobec kobiet — słowem wszystkie te cechy, które składają się na obraz prymitywnego i półdzikiego żołdaka. Ale krótkie pokwitowanie spadochroniarzy jako najmitów bez własnego światopoglądu mijałoby się z prawdą. Także i oni nie stanowią jednolitej masy, znajdujemy tam różne gatunki i podgatunki, nawet różne kolory skóry...

Tak, owe oddziały pacyfikujące z satysfakcją algierskich „podludzi" są — o paradoksie — rasowo pstrokate jak ich uniformy! I to nie tylko w klasycznych brygadach Legii Cudzoziemskiej; taki sam melanż spotyka się wśród tak zwanych skoczków kolonialnych (czerwone berety), formacjach w zasadzie francuskich. Obok Francuzów — Murzyni, Hiszpanie, Węgrzy, Vietnamczycy a przede wszystkim Niemcy. Obserwatorzy nieraz zadawali sobie pytanie, co łączy tę światową zbieraninę, i co sprawia, że swoje brudne zadania w Algierze wykonują z taką pasją?

Jednoczy ich niewątpliwie kult siły fizycznej i pogarda dla intelektu. Psychiatra bez wysiłku rozszyfruje w tym kliniczny przypadek kompleksu niższości; podobne zagadnienie poruszano kiedyś i u nas, podczas modnych wtedy dyskusji o chuliganach. Nienawidzi się z reguły tego, czego człowiekowi natura poskąpiła — w tym wypadku rozwiniętej inteligencji. Ubytek nadrabia się muskułami, hałasem, uderzeniem w twarz bezbronnego. Afrykańskie, azjatyckie i europejskie wyrzutki wyładowują wściekłość na ludności arabskiej Kazby za to, że w swoich krajach i w normalnych pokojowych warunkach byliby niczym. Spadochroniarze — Francuzi działają trochę już bardziej programowo, z wiekszym rozeznaniem sytuacji i z mniejszą dozą odruchów, ale u podłoża ich czynów znajdujemy ten sam kompleks. Nienawidzą więc Republiki Francuskiej, tego systemu „zgniłków w okularach" (symbolem tutaj Sartre), tych wszystkich polityków „zdradzających Francję" i „rozprzedających ją po kawałku". Niemcy... ba, o tych za wiele mówić nie trzeba: są to przeważnie hitlerowcy czystej wody, mimo, iż niejeden z nich koszulę nosił w zębach, kiedy Hitler pisał swój testament...

Czy nie trafiają się jednak wśród spadochroniarzy typy infantylne, rzekłoby się zbłąkane, ale w końcu uczciwe? Najpewniej tak. Ale żelazna tresura zrównuje tutaj wszystkich, zaciera różnice charakterów, upodabnia czarnych i białych, kojarzy dawnych gaullistów z hitlerowcami.

Spadochroniarska „góra" stanowi rozdział osobny. Ci twórcy kultu ambicji i siły wyposażeni są dodatkowo w pewne cechy charakteru, nie bardzo dla nas zrozumiałe. Kompleks przegranej wojny w Indochinach przerodził się w ich zagadkowych mózgach w... otwarcie głoszony podziw dla Mao-Tse tunga i Ho-Szi mina. Zwłaszcza Mao-Tse tunga wynoszą na piedestał — jako geniusza wojny partyzanckiej. Lecz i na tym nie koniec! W prywatnych wypowiedziach spadochroniarskich pułkowników uwielbienie dla chińskiej partyzantki łączy się czasem z pochwałą niektórych instytucji politycznych i społecznych Chin Ludowych! Snobizm na użytek salonów? Czy może kompletny obłęd?

Wodzem spadochroniarzy jest generał Massu, przykładowy nosiciel wszystkich wspomnianych sprzeczności. Praktykujący katolik. Opanowany demonem zemsty za Indochiny. W domu swoim ponury kontemplator, otoczony reprodukcjami Van Gogha i Maneta. Gdy w 1957 roku Lacoste upoważnił go do poddawania torturom podejrzanych o przynależność do algierskiego FLN — na sobie samym wypróbował aparat do torturowania prądem elektrycznym. Miał wtedy oświadczyć obojętnie, że „ból jest duży, ale odważny człowiek może to znieść". Oczywiście propagator absolutnej dyktatury wojskowej...

Czytelnik niniejszych uwag być może odnosi wrażenie, iż zamiast w środowisko poważnych wojskowych, mniej lub bardziej nieudolnie realizujących „głupią wojnę" w Algierze, wprowadzono go do domu wariatów. Kompleksy, bziki, zwyrodnienia... A jednak to wszystko prawda. Nie trzeba chyba dodawać, że ta dziwaczna machina wojenna, złożona z kółek i trybików mocno powykrzywianych, zgrzytliwych i zardzewiałych, dokonuje mimo wszystko od lat niebywałego dzieła zniszczenia. Są to jednak rzeczy aż nazbyt dobrze znane i wkraczające w dziedzinę samych metod walki — o czym już napisano całe tomy, niezbyt pochlebne, rzecz prosta, dla trójkolorowego sztandaru. Nas interesowały punkty styczne armii z obozem ultrasów — i miejmy nadzieję, że Czytelnik już teraz je zauważył. Sprawa stanie się jednak jaśniejsza, gdy w następnym, osobnym szkicu postaramy się odmalować drugiego kontrahenta: cywilnego ultrasa, współtwórcę faszyzmu w dzisiejszej Francji...

MIROSŁAW AZEMBSKI

Generał Jacques Massu

Konserwacja trupa nieaktualna

Dalszy ciąg ze str. 1

takie dzieła, pozbawione dobrego smaku, że niezliczone rzesze melomanów w ciągu wielu pokoleń entuzjazmowały się i nadal się entuzjazmują tymi sztucznymi tworami, dla których percepcji potrzeba wprawdzie jednego przymiotu, mianowicie zdolności kojarzenia wrażeń słuchowych, specyficznie muzycznych z wizualnymi. Byłoby rzeczą łatwą prześledzić w historii kultury bogaty nurt sztuki, łączący muzykę ze słowem i z ruchem scenicznym, alians najzupełniej naturalny pozbawiony jakiejkolwiek sprzeczności. Są jednak ludzie, którym muzyka (dobra czy zła) przeszkadza w słuchaniu treści słownych, ale ich sąd jest chyba najmniej miarodajny w ocenie wartości połączeń obu elementów akustycznych. Olbrzymiej większości słuchaczy daje właśnie połączenie dobrej muzyki z dobrą poezją i

akcją dramatyczną wielką satysfakcję estetyczną i emocjonalną.

W artykule ob. Piechala czytamy dalej, że opera miała sens jedynie w okresie feudałów, że była sztuką typowo monarszą a uprzywilejowanym mecenasom zespoły baletowe i śpiewacze zastępowały haremy, tak bowiem można czytać u Tolstoja, Balzaka i Flauberta.

Ten wycinkowy i jakże tendencyjnie jednostronny wywód z historii opery daje oczywiście fałszywy obraz dziejów tego gatunku sztuki, która już u swego zarania w XVII wieku była nie tylko un spettacolo degli principi, ale również teatrem ludowym, jak np. w Wenecji, gdzie istniało wtedy ponad 30 publicznych scen operowych rywalizujących ze sobą. Przy okazji warto zapytać, czy inne gatunki sztuki jak poezja, dramat i plastyka, które w okresie feudalizmu też przecież nie odżegnywały się od mecenatu koronowanych głów, czy one w naszych demokratycznych czasach stanowią także przeżytek? Wszyscy wiemy, że tak nie jest i teatr operowy na równi z innymi sztukami ma swoją kwitnącą teraźniejszość i to wspanialszą, niż się na ogół przypuszcza, zarówno w zakresie twórczości jak i wykonawstwa. Wbrew temu, co twierdzi autor artykułu, na całym świecie teatr operowy nie tylko nie upada czy bywa sztucznie podtrzymywany, ale przeciwnie — przeżywa żywiołowy renesans, co się wyraża choćby w budowie licznych nowoczesnych gmachów, gromadzących tłumy melomanów, głównie oczywiście w Europie, ale także w Ameryce, nawet w Azji i północnej Afryce. Ta „feudalna" sztuka jest przede wszystkim dzisiaj strawą codzienną najszerszych mas w krajach socjalistycznych i nie jest bynajmniej przypadkiem, że i u nas władza ludowa uważa rozwój placówek operowych za ściśle odpowiadający konkretnemu zapotrzebowaniu społecznemu. W miastach, które w okresie międzywojennym nie zdobyły się na stworzenie takich placówek, dzisiaj powstają zespoły operowe i cieszą się powodzeniem najzupełniej usprawiedliwiającym konieczne dotacje.

Dlaczego tak wielkie miasto jak Łódź miałoby być środowiskiem socjologicznie na tyle się różniącym od innych w kraju, że właśnie tu przedstawienia operowe, jako widowiska rzekomo anachroniczne okazałyby się niepotrzebne.

Obywatel Piechal nie przeczy, że widywał w swoich podróżach przedstawienia baletowe i operowe, które sprawiały mu niejaką satysfakcję artystyczną, wyraził się nawet z uznaniem o widzianych w Operze Bałtyckiej, baletach Ravela i Bartoka. Dzieła te wystawiono z mojej inicjatywy, jednak ten fakt nie nastroił nieco optymistycznie szanownego autora artykułu co do przyszłości także Opery Łódzkiej, nad którą opiekę artystyczną od niedawna mi powierzono. Czy można tylko z tego powodu, że przedstawienie baletu „Fontanna Bachczyseraju" tak ujemne na autorze artykułu wywarło wrażenie konkludować o celowości teatru muzycznego w Łodzi w ogóle? Jeżeli autor jest tego zdania, to należało przed siedmiu laty protestować przeciw powstawaniu widowisk operowych w Łodzi, a teraz raczej wstrzymać się z oceną społecznej wartości całej imprezy dopóki nie zostaną stworzone w nowym gmachu warunki dla prawdziwie nowoczesnej realizacji widowisk baletowych i operowych.

Należy uświadomić sobie, że dotychczasowe warunki lokalowe w jakich odbywają się przedstawienia Opery Łódzkiej nie są sprzyjające ani dla wykonawców ani dla odbiorców, zarówno przestrzennie jak akustycznie. W organizację przedstawień w nowym gmachu trzeba będzie włożyć wiele wysiłków pod względem kadrowym jak i materiałowym, ale zamierzenia te są najzupełniej realne i jestem pewny, że ostateczny rezultat artystyczny tych wysiłków znajdzie pozytywny oddźwięk właśnie w szerokich kręgach społeczeństwa łódzkiego. Mit o rzekomym przeżytku się konwencji artystycznej, jaka cechuje dzieło operowe okaże się błędnym, natomiast bogactwo wrażeń słu-

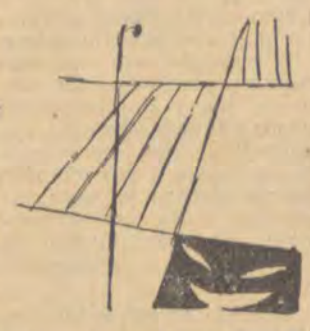

chowych i wizualnych jakim odznaczają się arcydzieła tego gatunku, przyniesie wiele społecznego i kulturalnego pożytku właśnie robotniczej Łodzi. Gdyby bowiem wartości tej sztuki były tylko objawem sztucznej galwanizacji (jak to sugeruje autor artykułu) formą dawno przeżytą, nie powstawałyby w naszych czasach opery takich mistrzów jak Szymanowski, Prokofiew, Szostakowicz, Strawiński, Hindemith, Schönberg, Bartok, Honneger, Poulanc, Britten, Alban Berg, Milhaud czy wreszcie Ryszard Strauss. Na „z operowanie" swojej twórczości literackiej nie zgodziliby się chyba ani Cocteau ani Kafka czy Georg Büchner a dawniej Hofmannsthal, czy nasz Iwaszkiewicz.

Opera nie przeżyła się jako rodzaj sztuki, przeżyły się jedynie środki inscenizacji, dawna sztampa i wygodna rutyna aktorska, przeczące nowoczesnemu pojmowaniu teatralnej wizji. Nie tracę nadziei, że jeżeli Operze Łódzkiej uda się wypracować lepsze, nowocześniejsze formy dla swoich widowisk, co w zasadzie będzie w pełni możliwe dopiero na własnym gospodarstwie, wtedy być może i autor artykułu spojrzy na nasze wysiłki łaskawszym okiem.

ZYGMUNT LATOSZEWSKI

Do Redakcji „Odgłosów" Łódź

W związku ze wzmianką umieszczoną w numerze 5-tym „Odgłosów" uważam za swój obowiązek poinformować, że otrzymałem w tym samym czasie zamówienia na tekst „Kobry" z Telewizji Łódzkiej i Telewizji Poznańskiej. Obydwa zamówienia wykonałem, obydwa zostały przyjęte przez Redakcje Łodzi i Poznania. Niestety, Warszawa, która decyduje o programie w całej Polsce, zaakceptowała „Kobrę" poznańską. „Kobrze" zaś łódzkiej sprzeciwiła się, nie ze względu na jej poziom, lecz dlatego że jej pomysł nie mieścił się w ramach dotychczas praktykowanych. Zarzut więc, który spotkał Telewizję Łódzką, że nie dba o łódzkich autorów, w tym wypadku nie trafił pod właściwy adres, tym bardziej że zamówienie Łodzi jest nadal aktualne.

Załączam wyrazy szacunku.

JERZY WALDEN

JAN AUGUSTYNIAK

NIE MUSIMY SIĘ TAK BARDZO WSTYDZIĆ

Od kilku tygodni trwa dyskusja nad sprawami kulturalno-oświatowymi w naszym mieście. Wymiana zdań odbywa się zarówno na zebraniach aktywu społecznego jak i w prasie. Jest to zjawisko dodatnie, powoduje bowiem zainteresowanie się opinii publicznej zagadnieniami o charakterze powszechnym. Z takiej okazji powinni skorzystać działacze i pracownicy oświatowi i tym się tłumaczy również i mój głos w ogólnym chórze.

W wystąpieniach reprezentantów placówek zawodowych, jak i przedstawicieli władz administracyjnych odpowiednich resortów, przebija się troska z powodu zbyt jeszcze słabego rozwoju instytucji kulturalno-oświatowych, jak i zbyt nikłego ich oddziaływania wychowawczego.

Wysokie aspiracje kierowników życia publicznego pod tym względem są zupełnie zrozumiałe. Kraje Demokracji Ludowych żyją w epoce którą cechuje wielkość zamiarów na wszystkich polach życia.

Nie wszystkie jednak dziedziny społeczne, a w tym i działalność kulturalna-oświatowa, dają się szybko i zupełnie podciągnąć do tych wysokich aspiracji. Życie bezwzględnie narzuca trudności różnej natury, a przede wszystkim natury ekonomicznej.

W dyskusji, którą uważnie śledzimy, spostrzegliśmy kilka uwag dotyczących bibliotek miejskich w Łodzi. Jest to bodaj największe na przestrzeni ostatnich kilku lat, zainteresowanie się czynników społecznych tym działem życia. Należałoby się z tego cieszyć gdyby opinie, o bibliotekach wygłaszane, były zawsze zgodne z rzeczywistością. Ponieważ jednak w obrazach rysowanych jest wiele opisów tendencyjnych i opartych na nieznajomości sprawy, należy przeto dla prawdy przedstawić istotny stan rzeczy.

Pierwszą kwestią, jaka wywołała ogólne zdziwienie, było to, że bibliotek miejskich jest niewiele i że według normy statystycznej dla naszego miasta ilość ich przekroczyła zaledwie połowę wymaganej. Kierownictwo bibliotek miejskich nigdy nie kryło tego faktu, że Łódź posiada bibliotek za mało. Gdyby ktoś chciał głosy nasze sprawdzić — to służymy informacjami, że w „Dzienniku Łódzkim" z dnia 21. V. 1958 r., następnie w numerze 184 r. 1960 tegoż Dziennika, oraz w numerze 123 r. 1961 znajdują się artykuły i wzmianki poświęcone temu problemowi i wyraźnie stwierdzające, że pod względem ilości bibliotek rejonowych stoimy blisko ostatniego miejsca w skali krajowej. Dyrekcja Biblioteki Publicznej we wszystkich swoich wystąpieniach, na różnych zebraniach w Łodzi czy w Warszawie, wobec władz centralnych, na wiecach przedwyborczych, lub w artykułach bezpośrednio ogłaszanych w prasie, zawsze ten fakt silnie podkreślała.

Czy nasza Rada Narodowa, która, w świetle dekretu o biliotekach powszechnych, ma obowiązek troszczyć się o pomieszczenia dla bibliotek, reagowała na te alarmy?. Oczywiście — reagowała i w miarę możności lokale były przydzielane.

A więc zarówno kierownictwo bibliotek miejskich jak i Prezydium MRN myślały poważnie o lokalach bibliotecznych. Podjęto nawet pozytywną uchwałę, wzywającą kwaterunek do przydzielenia bibliotekom potrzebnej ilości pomieszczeń, tylko, że nic z tego nie wyszło, bo władze tego urzędu orzekły, że „z pustego i Salomon nie naleje". Przeszkody natury gospodarczej wystąpiły tutaj w całej sile.

Natomiast w innej formie ta uchwała Prezydium posunęła sprawę naprzód. Oto ukazały się zalecenia Plenum MRN, aby wszystkie nowo budowane osiedla z reguły umieszczały w planie lokale dla bibliotek rejonowych. Ta sprawa realizuje się już od kilku lat i stopniowo otwierają się nowe biblioteki w nowoczesnych pomieszczeniach.

Problem lokali jest najważniejszym czynnikiem dla rozwoju czytelnictwa. Warto przy okazji nadmienić, że bibliotek szkolnych i przy zakładach pracy jest w Łodzi przeszło 400 — a to dlatego, że zaraz po wojnie istniało kilkaset gmachów szkolnych i budynków fabrycznych, gdzie o jakiś kąt dla biblioteki nie było trudno. Biblioteki zaś miejskie gotowych pomieszczeń nie miały, o każdy więc metr przestrzeni trzeba było staczać ciężkie boje.

Dla pewnego rodzaju wyjaśnienia sytuacji należy przytoczyć fakt, że w okresie 20 lat międzywojennych ówczesny Zarząd Miejski zdobył się na zorganizowanie tylko 9 bibliotek rejonowych, dzisiejsze zaś władze miejskie w Łodzi potrafiły powołać do życia 42 biblioteki rejonowe w ciągu 15 lat, a więc tempo 7-krotnie większe. Nie musimy się bardzo wstydzić!

A że nie mamy takiej ilości bibliotek która by stanowiła 100% normy statystyczno-demograficznej? Proszę mi pokazać — które instytucje posiadają rozbudowane swoje agendy terenowe w 100%? Czy istnieje potrzebna ilość barów mlecznych, przychodni lekarskich, szpitali, szkół, kin, żłobków i przedszkoli? Nie, nie istnieje! — Kulturę tworzy czas! Nie od razu Kraków zbudowano! —

A teraz coś w kwestii prestiżowej. I nasze miasto zajmuje także na kilku odcinkach działania pierwsze miejsce. W czasopiśmie „Bibliotekarz" nr 5 r. 1960 w artykule „Biblioteki powszechne w 1959 r." autor T. Zarzębski podkreśla, że w Polsce wzrosła aktywność czytelnicza w której przoduje Łódź, posiadając najwyższy wskaźnik ruchu czytelników — 25,1, podczas gdy Warszawa liczy 24,6, Kraków 23,9. W r. 1961 ten sam autor wykazał, że Łódź **osiągnęła najwyższy wskaźnik wypożyczeń w grupie literatury popularno-naukowej, a mianowicie 27,6,** a Wrocław najniższy — 4,2.

Przy okazji można tu podać ogólne dane liczbowe z działalności bibliotek miejskich w Łodzi za ubiegły rok 1961 r. Posiadamy 436.000 vol., 45.839 czytelników stałych (abonentów), 42 filie, 32 punkty biblioteczne. Ruch czytelników wynosił w tym czasie 600.000 odwiedzin, zaś obrót książek wypożyczonych stanowił 1.200.000 vol.

Z kolei nasuwa się do wyjaśnienia problem szybkiego udostępniania książek nowo nabytych, czyli tzw. „nowości". Pod względem organizacyjnym sprawa jest rozwiązana w ten sposób, że poszczególne filie mają prawo czynić zakupy w księgarniach bezpośrednio, nie przez Bibliotekę Główną. Same również filie książki te opracowują. Przyczynia się to znakomicie do skrócenia drogi między czytelnikiem a książką. Ponadto bardzo często zdarza się, że kierownik biblioteki rejonowej, natychmiast po otrzymaniu transportu z księgarni, puszcza nowości w ruch między czytelników. Dotyczy to w szczególności książek w sztywnej oprawie. Natomiast książki w oprawie miękkiej muszą przejść przez wąskie gardło introligatorni co, rzecz jasna, oddala moment pierwszego kontaktu książki z czytelnikiem, lecz nigdy w granicach kilku miesięcy czy jednego roku. Niezależnie od zlikwidowania trudności manipulacyjnych problem nowości ciągle będzie aktualny, bo na nowe wydania oczekuje wielu ludzi, a w zasadzie nie można kupować tylu egzemplarzy nowej publikacji ilu czytelników tego pragnie. Zakupienie większej ilości egzemplarzy stanowiłoby zbędne dublety, tymbardziej niepotrzebne, gdy chwilowa sława tytułu przeminie.

Oprawę książek prowadzimy centralnie, gdyż posiadamy własny warsztat introligatorski, przez co uzyskujemy oszczędność kosztów oprawy o 50% ceny rynkowej. Lecz i to ulegnie zmianie: wypożyczalnie rejonowe częściowo już mają prawo oddawania książek do najbliższej spółdzielni introligatorskiej jeżeli centralna introligatornia nie nadąża z oprawą.

Nie jest zgodne z rzeczywistością, że w filiach są wielkie ilości książek przestarzałych. Książki takie są z nakazu władz wyższych masowo wyłączane. Istnieją już olbrzymie magazyny takimi książkami zapełnione.

W jednym punkcie dyskusji wystąpiła uwaga, że Biblioteka Publiczna im. L. Waryńskiego jest biblioteką publiczną — nie naukową. W tej materii należy się wyjaśnienie. Według klasycznych zasad i nomenklatury biblioteka publiczna oznacza taki księgozbiór z którego powinna korzystać cała ludność danej miejscowości od dziecka do starca, od ucznia do uczonego. Rzecz jasna, że w jednym gmachu wszystkich książek dla realizacji takich założeń pomieścić nie można i wobec tego tworzy się tzw. sieć biblioteczną gdzie są trzy typy bibliotek: dla młodzieży, dla starszych i biblioteka centralna. Są to zarazem trzy poziomy nauczania, a raczej ich uzupełnienie: niższy, średni i wyższy. I dopiero taka sieć w całości, razem wzięta, nazywa się biblioteką publiczną. Księgozbiór główny ma w tym układzie z reguły charakter akademicki. Kwestionowanie więc tego charakteru Biblioteki Centralnej jest naruszeniem klasycznej konstrukcji biblioteki publicznej.

W odniesieniu zaś do Łodzi sprawa ta ma dodatkowo odrębną specyfikę. Kiedy przed 45 laty powstawała dzisiejsza Biblioteka Publiczna nie było w Łodzi ani jednej placówki naukowej, ani szkoły wyższej, ani instytutów, ani towarzystw naukowych. Dzieje czytelnictwa powszechnego w naszym mieście wykazują, że prawie od stu lat poważniejsi obywatele łódzcy o takiej właśnie naukowej placówce marzyli. Udało się to dopiero zrobić w r. 1917 w czasie pierwszej wojny światowej. Ówcześni założyciele taki właśnie charakter dla naszej Biblioteki ustanowili i w takim też charakterze utrzymywała się ona przez 45 lat. W okresie międzywojennym wielu dzisiejszych przywódców ruchu robotniczego, w Łodzi zamieszkujących, w tej Bibliotece się kształciło. Dla honoru miasta i jego tradycji rewolucyjnej, dla godności władz miejskich — w takim też charakterze należy ją nadal utrzymać. Dyrekcja Biblioteki Publicznej nigdy nie walczyła o tytuł naukowy dla tej Biblioteki, a mimo to cała opinia naukowa w kraju, wszystkie władze naczelne, wydające ustawy, zawsze do takiej kategorii Bibliotekę zaliczały. Właśnie w dniu 5 lutego rb. odbyła się konferencja w Warszawie w CRZZ gdzie przedstawiciele władz centralnych zapowiedzieli powołanie do życia na terenie tej Biblioteki ośrodka badawczo-naukowego w zakresie czytelnictwa. Dzieje się tak dlatego, że przez wiele lat gromadzono księgozbiór na wysokim poziomie i kierownictwo postawiło sobie za cel główny nie dopuścić do obniżenia jakości tych zbiorów.

I dziwna rzecz, że ten charakter Biblioteki, z którego społeczeństwo łódzkie powinno być dumne i powinno czuwać, aby taki poziom był utrzymany — ostatnio bywa krytykowany. Te wysokie aspiracje kogoś rażą. Żąda się obniżenia lotu.

Charakter naukowy Biblioteki Głównej wcale nie powoduje, że ona się wyłącza z sieci, przeciwnie ciągle stanowi jej organiczną część i spełnia rolę kierowniczą.

Problem zaś nowości w tej Bibliotece ma inny aspekt: przepisy opracowania wielkiego księgozbioru ustalane są przez centralne instytuty naukowe i dowolnie nie mogą być zmieniane. Mimo to zrobiono wszystko, aby nowości jak najrychlej do rąk czytelnika docierały.

Jeden z głosów, wynotowany z dyskusji w sprawie bibliotek miejskich, sugeruje, że dopiero teraz rozpoczęła się tam praca oświatowa, polegająca na rozszerzonym programie działania tj., że poza wypożyczaniem książek prowadzi się jeszcze odczyty, akademie, spotkania autorskie, muzykę i śpiew artystyczny itp. Jest to ciężki brak orientacji w naszej pracy.

Dalszy ciąg na str. 10

„ZACZAROWANA GOSPODA"

Praktyka adaptacji lub przerabiania zamierzchłych wątków literackich kryje w sobie, jak mi się zdaje, dość poważne niebezpieczeństwa. Powtórne opisywanie przygód Odysa czy Don Kichota jest zajęciem ryzykownym: ten uświęcony tradycją XX-wiecznej dramaturgii zabieg wymaga na pewno odkrycia w podjętym wątku nowego dna. Nie wystarczy przypomnienie fabuły, nie chodzi bowiem o fabułę. Ta jest znana. W ostatecznym rachunku, jak zawsze w literaturze, chodzi o to, czy autor ma coś nowego do powiedzenia na temat fabuły. A więc na temat współczesności.

„Zaczarowana gospoda" Władysława Smólskiego nie miała być jednak — przynajmniej w zamiarze autora — tylko komentarzem do jednej z przygód Don Kichota. Chodziło o coś więcej. O konflikt między rzeczywistością a poezją. Ale z konfliktu między rzeczywistością a poezją nie wynika jeszcze, niestety, konflikt dramatyczny, a stwierdzenie istnienia owego konfliktu jest bez wątpienia truizmem. Don Kichot Smólskiego to po prostu Don Kichot Cervantesa. Sancho Pansa to tylko Sancho Pansa. Tak jak u Cervantesa. Don Kichot z „Zaczarowanej gospody" jest symbolem niezgody na rzeczywistość. I tak jak u Cervantesa, reprezentuje on to, co w życiu ludzkim najlepsze, choć często lekceważone: marzenie. Tylko, że jest to Don Kichot oderwany od podłoża społecznego, umieszczony gdzieś w przestrzeni międzygwiezdnej, na pewno nie w konkretnym kraju i w konkretnym wieku. Hiszpania z „Zaczarowanej gospody" jest krajem fikcyjnym. Smólskiego interesował bowiem konflikt, a nie jego uwarunkowania społeczne. Niestety, zaledwie stwierdził istnienie tego konfliktu między rzeczywistością a poezją, poza tym nie miał już wiele do powiedzenia na ten temat. Na małej scenie Teatru Nowego obejrzeliśmy więc tylko interesującą ekspozycję, na samą sztukę będziemy jeszcze, jak się zdaje, musieli poczekać. Jedno jest pewne: powinna ona zaczynać się tam, gdzie sztuka Smólskiego się kończy — od stwierdzenia rozbieżności między światem kreacji a światem, w którym przyszło żyć Don Kichotowi.

Trudności, jakie musiał napotkać reżyser (debiut Tadeusza Minca) są więc zrozumiałe. Materiał literacki pozwalał być może na zbudowanie postaci, nie wystarczał jednak z pewnością na zbudowanie spektaklu. Uczucie niedosytu jest wyraźne, wizja, powstająca w trakcie dialogu między Don Kichotem (interesujący Mieczysław Voit) a Inez (urocza Urszula Modrzyńska), rozsypuje się nagle, a zakończenie nie następuje. Jest to bowiem spektakl bez [illegible]czenia. Mimo wszystko, warto obejrzeć „Zaczarowaną gospodę": gra w niej — niestety, tylko w pierwszym akcie — Zygmunt Malawski. Jak zawsze w wypadku zetknięcia z aktorstwem, wyrastającym ponad tekst, miałem wrażenie, że oglądam dwie sztuki. Autorem jednej był Władysław Smólski. Drugą — prawie z niczego — budował Malawski. Były w niej bez kresne równiny Hiszpanii, klimat niebezpieczeństwa i zagrożenia, rzeczywistość zbyt okrutna, by mogła w niej zwyciężać poezja.

J.M.R.

Władysław Smólski — „Zaczarowana gospoda". Reż.: Tadeusz Minc. Scenografia: Iwona Zaborowska.

Maria Kozierska w roli pani Clandon w „Nigdy nie można przewidzieć"

„NIGDY NIE MOŻNA PRZEWIDZIEĆ"

Nie wymagajmy zbyt wiele. „Nigdy nie można przewidzieć" nie jest na pewno ewenementem teatralnym. I nigdy nim chyba nie było. „Nigdy nie można przewidzieć", to dzień powszedni teatru, przekonanego o tym, że widz domaga się komedii, że nie nęcą go smutne parabole człowieczego losu, układane przez dramaturgów współczesnych Pisząc tę komedyjkę, Shaw wykorzystał dość zręcznie stary schemat sztuki salonowej. To wszystko. Schemat wypełniony został kilkoma dowcipami i kilkoma złotymi myślami. Ale i dowcipy i złote myśli starzeją się zazwyczaj dość szybko. Być może, przed pięćdziesięciu laty, u początków wieku XX, tekst brzmiał jeszcze aktualnie. Choć naprawdę trudno w to uwierzyć. Niestety, minęło pół wieku i kłopoty matrymonialne emancypantek nie są już dziś w stanie nikogo zainteresować. Stara Anglia należy do przeszłości, do przeszłości należą też heroiczne walki o wyzwolenie kobiet. „Nigdy nie można przewidzieć" nie jest zresztą nawet historycznym dokumentem tych walk. Problem emancypacji potraktowany został z przymrużeniem oka. Shaw myślał raczej o zabawieniu publiczności, niż o prawieniu morałów i złośliwości. Dlatego też wszystkim bohaterom tej komedii omyłek przyznane będzie wielkoduszne autorskie rozgrzeszenie, nikt nie zostanie ukarany, bo nikomu nic nie ma się za złe.

Nie miejmy więc i my za złe teatrowi wystawienia tej komedyjki. Zaleca się ona, mimo wszystkie naiwności tekstu, wysokim poziomem rzemiosła dramaturgicznego (co zapewne będzie ją jeszcze chronić przez pewien czas przed losem, pisanym wszystkim komediom salonowym), a przede wszystkim dobrze napisanymi rolami. Role zostały wykorzystane, spektakl w Teatrze Jaracza (reżyserowany przez Ewę Bonacką, a będący powtórzeniem inscenizacji warszawskiej) jest na pewno godnym pochwały pokazem sprawności i dobrego rzemiosła aktorskiego. Myślę tu przede wszystkim o świetnej Marii Kozierskiej (pani Clandon), aktorce będącej w tej chwili w pełni rozwoju a z uporem niedocenianej i niedostrzeganej przez krytykę i o Jerzym Ćwiklińskim, wyjątkowo tym razem oszczędnym w wyborze środków, a przecież — może właśnie dlatego — nieodparcie śmiesznym. I gdyby nie Bolesław Cieslelski (adwokat Bohun), który w ostatnim akcie dostał się w bliżej niewytłumaczony sposób na scenę, moglibyśmy mówić o pełnym sukcesie teatru. Tylko bowiem ludzie nierozważni mogliby żądać, aby teatr kroczył nieprzerwanie od odkrycia do odkrycia.

J.M.R.

G. Bernard Shaw „Nigdy nie można przewidzieć". Reż.: E. Bonacka. Kostiumy: W. Daszewski. Dekoracje: H. Głowacka.

PIĘTNASTOLETNIA (kobieta)?

Dokończenie ze str. 1

niechęci do najbliższego otoczenia i charakterystyczne, podkreślane zresztą na każdej stronie: „niezrozumienia, samotność".

— „Ach, czemuż ona niczego nie rozumie — pisze o matce dziewczynka, — ponieważ w odpowiedzi wzruszyłam ramionami, natychmiast dostałam od niej po karku".

Piętnastoletnia nie operuje zaimkami liczby mnogiej, ona zna stosowanie jednego — JA, które odmienia przez wszystkie przypadki. Jej JA rzuca wyzwanie dorosłym, szuka próby usprawiedliwienia siebie przed ich zarzutami. Próba wyraża się w krytyce, częstokroć przyjmującej formę buntu przeciwko ograniczaniu wolności osobistej JA zamkniętego między szkołą a domem, obwarowanego jak uliczna arteria dżunglą przepisów, zakazów, upomnień.

Tyci-tyciutki światek? Autonomia ślimacza? — Z jednej strony na pewno tak. Ale istnieje i odwrotna strona medalu. Piętnastoletnia jest bowiem o wiele mądrzejsza niż się przypuszcza. Ona asekuruje się przed otoczeniem, którego nie chce uznać. Woli pasożytnicze i kolidujące z nią samą wygórowane JA, od przyjacielskiej symbiozy z dorosłością, gdyż ta odbiega od wytworzonego przez piętnastoletnią wzorca. W tym miejscu zawiera się pierwsze z wielu drastycznych spięć: piętnastoletnia straciła prawo odwrotu do dzieciństwa (zresztą powrotu — nie pragnie, to by ją zdegradowało), ale nie wyrobiła sobie jeszcze wstępu do kręgu dorosłych, nie przynależy ani tu, ani tam. Jest jakby bezdomna.

„W domu jestem kukłą. — Nie kichaj, nie ziewaj, jedz szpinak, uważaj, jak siedzisz. Jeżeli nie zrobię tak, jak oni każą, jestem wyrodek, bachor, zakazany typ. W szkole — darowałabym już te tarcze, berety, fartuchy, ale oni każą mnie myśleć tylko tak, jak wydrukowane w książce, broń

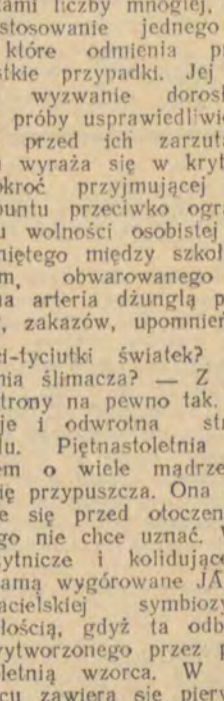

Boże inaczej, bo źle, dwója, siadaj, leniwa, tępa, najgłupsza... — „Zośka" wyrwała mnie dziś z historii. Akurat myślałam, że cudownie byłoby mieć swój własny pokój, taki wiesz — najprawdziwszy, do którego nikt by ci nie mógł wejść i zawracać głowy bzdurnymi uwagami, rzygam nimi, w którym można byłoby schronić się jak w norce. Oczywiście, nie mogłam jej odpowiedzieć, dziewczyny się śmiały, a ona powiedziała — Ty chyba myślisz o niebieskich migdałach! Daj dzienniczek! — Znowu w domu będzie nieziemska awantura. Zresztą, mnie nic nie obchodzi, mnie nie interesuje historia! Co mnie obchodzi, że Oleśnicki był sojusznikiem Watykanu?"...

Deklarowane urazy dotyczą konkretnych wycinków — szkoła, klasa. Rama odniesienia więc jak najbardziej społeczna.. Piętnastoletnia dziewczynka reprezentuje postawy większości: „Mądrości podręcznikowe" są puste, nie mają powiązań z aktualnym życiem, lekcja historii wydaje się nudną instytucją. Domyślamy się chyba, łatwo, że to klasa wymyśliła dla nauczycielki przydomek lub — być może, przywędrował za nią z jakiejś innej klasy, a nawet szkoły; fakt przyjęcia się go i rozpowszechnienia wyraża stosunek całej grupy.

Szkoła dla piętnastoletniej jest jednym z miejsc obserwacji, wnioski podlegają stałym przewartościowaniom. Mimo posługiwania się wciąż idealnym szablonem na dorosłość, do którego przymierza wszystko co spotyka piętnastoletnia poprzez te nieustanne obserwacje i porównywania wytwarza swój światopogląd. Według przymiarek, niekiedy niefortunnych, ona modeluje swoje przyszłe zachowanie.

„... Taka nauczycielka naszprycowana tysiącem umarłych dat, nikomu niepotrzebnych, której cały świat to daty, daty i jeszcze raz daty pragnęłaby przerobić nas na swoją modłę — abyśmy i my myślały datami, rozmawiały o datach, kochały daty, śniły o datach... Jeżeli mam być w przyszłości jedną z takich — wolę umrzeć!". Prelogiczne wnioskowanie piętnastoletniej nie zna kanonów niezawodnej indukcji, ale posiada realną przesłankę i realne następstwa.

* * *

„Jest noc. Wszyscy śpią. Baśka jeszcze nie wróciła, pewno się puszcza. Ma takiego faceta z Plastycznej, ze skuterem, co mówi głośno i robi głupie miny. Na mnie mówi — fajna mała. Ohydny facet. Ma krzywe nogi i zieloną, zafajdaną zamszową kurtkę. Myśli o sobie, że jest Bóg wie co! Ale Baśka jest w nim zakochana! Idiotka!... Za oknem jest ciemno i ludzi na Piotrkowskiej nie ma. Ładna jest ulica nocą... — ... Baśce to dobrze, jest dorosła i niczym się nie przejmuje. Jak mama się do niej przyczepi, to ona mówi, że musi się uczyć, bo ma kolokwium i obleje. Ojciec jest stary sanfaduła i boi się mamy. Zresztą, ja jego nic nie o b c h o d z ę. Dla niego tylko Basiunia i Basiunia. Dla Basiuni mają pieniądze na wszystko — szpileczki, swetereczki, a ja chodzę jak żebraczka i mam tylko jedną wyjściową sukienkę, od trzech lat tę samą. „W ciągu dwóch miesięcy szyją już jej czwartą kieckę".

W domu piętnastoletniej ojciec ulega matce — znany

typ rodziny. Siostra zajmująca z powodu hierarchii wieku i studiów uprzywilejowane stanowisko pozostaje na prawach wyjątkowych. Wydawałoby się, że piętnastoletnia powoduje jedynie blaha zawiść o „kiecki". Tu zawiść jest jedynie pretekstem dla wyrażenia żalu, posiadającego dwa wymiary: naturalny: pragnienie ładnego wyglądu i ubrania. Za tym się kryje postawa życiowa — n i e k o c h a n e j. Według takiej niebezpiecznej zasady buduje piętnastoletnia świat swoich doświadczeń. Najbanalniejsze zdarzenie urasta do rangi symbolicznego dramatu. **— „Mama kupiła mi dzisiaj śliczne pantofelki na płaskim obcasie ze spiczastym noskiem. Są śliczne, wiesz? — i strasznie chciałam je mieć. Takie ma u nas w klasie Jadzia, a ona najładniej ubiera się ze wszystkich dziewcząt. Ale teraz już się nie cieszę. Oczywiście, natychmiast zniszczysz — powiedziała mama — czy dla ciebie warto coś kupować? Odpowiedziałam, że jej łaski nie potrzebuję, i że niech zabierze te pantofle i wypcha się nimi. No i zaczęła się dopiero draka..."**

„Mama stale na mnie wrzeszczy, że jestem najgorszym bachorem pod słońcem. Cokolwiek do niej nie powiem — kłamię, bo ja, zanim usta otworzę — już kłamię. Nic mi nie wolno, nawet kino zabronione — masz w domu telewizor, niczego ci nie brakuje, a poza tym w kinie „na pewno wyściskuje się z chłopaczyskami" bo jestem już amoralna bo mam złe skłonności, a wszystko dlatego, że czytam „Duszę Zaczarowaną". Ona kradnie moje listy, węszy i szpicluje. Czy to coś złego pójść do kina z chłopakiem albo mieć kolegów? I tak nigdy nie wyjdę za mąż, bo ta cała miłość jest obrzydliwa, widzę to na Baśce i jej facecie, widziałam, jak ją obmacywał, zresztą raz pocałowałam się z Wojtkiem i już mam dosyć do końca życia — ale nie o to mi chodzi — dlaczego innym moim koleżankom wolno? Jestem od nich gorsza? Niedługo zdam do dziesiątej klasy. Mama uważa, że jestem amoralna i cyniczna. Podarła mi „Duszę Zaczarowaną" bo mam czas na t a k i e książki. Muszę teraz odkupić ale za co? Ukradnę mamie, tak jak ukradłam na kaprony. Nawet tym razem nie będę miała wyrzutów sumienia. W końcu tamtych pończoch nie założyłam, ale teraz bez mrugnięcia oka wezmę pieniądze... Mama była w szkole i zamiast się cieszyć, że poprawiłam dwóje z matmy i fizyki, zwymyślała mnie. A ja, głupia, wyobrażałam sobie, że będzie ze mnie zadowolona. A przecież z polskiego, geografii, angielskiego i biologii mam piątki i nie zaliczają mnie wcale do złych uczennic. Wkuwałam się przez dwa tygodnie jak oślica tych cholernych wzorów, trzy bruliony zmarnowałam na rozwiązywanie zadań, i bez żadnej pomocy, korepetycji — poprawiłam się, choć jestem kiep absolutny do matmy i temu podobnych dupereli: A mama: Raptem — trójczyny! Nie mogłaś na więcej?! — Nie trzeba mieć dziecz przez zmianę swoich spostrzeżeń (...„moja mama często chodzi do spowiedzi...") — symptomatyczne wyznanie, które nie wymaga komentarza.

Piętnastoletnia pragnie wzmożonego uczucia — chce kochać i być kochaną. Potrzeba uczucia jest lękiem przed dorosłością, którą piętnastoletnia obserwuje, a którą jednocześnie pragnie osiągnąć. Stąd jej światek przypomina bałaganiarską szufladę — gdzie nagromadzone rzeczy bezużyteczne z maniakalnym uporem trzyma obok wartościowych. Dziwna szuflada, do której klucz starannie skrywa przed intruzami. Ale w tym pozornym bałaganie panuje pewna równowaga i rządzą pewne prawa. Na razie nieskoordynowane — pierwsze z nich to dewalu-

acja wartości narzucanych przez ciekawskich z otoczenia, następne — imaginacja wyobrażenia, mniemania. Zanim piętnastoletnia odkryje najistotniejsze, że nie ona jest osobą pierwszą, jedyną i najważniejszą, że świat nie dzieli się na jej JA — i resztę, musi właśnie według obrazowych słów cioci stać się „motylkiem z larwy". Czyli — dorosłą.

Cytowanych powyżej fragmentów z pamiętnika piętnastoletniej dziewczyny nie należy traktować jako vademecum dla wieku podlotków. I tu daje się zauważyć jakiś stereotyp charakterystyczny dla kategorii myślowych, etycznych czy obyczajowych tego wieku, lecz sposób reagowania pozostaje dla każdego przypadku piętnastoletniej oddzielny, nie pozwalający się zaszeregować pod wspólny tytuł, zależny od środowiska, rodzinnego klimatu i warunków, w jakich ona wychowuje się i przebywa. Piętnastoletnia dziewczyna z pamiętnika jest na pewno dużym odstępstwem od spotykanej na ulicach reguły w za krótkich spódnicach, kolorowych pończochach z tomem Saganki pod pachą, dlatego nie próbuję stawiać znaku równości pomiędzy nią a resztą jej rówieśniczek.

EWA OSTROWSKA

„Nie wierzę w nic... Nie wierzę też w Boga. Bóg jest wymysłem ludzkiej, tchórzliwej wyobraźni. Ludzie chcą grzeszyć, jednocześnie chcą mieć usprawiedliwienie dla swoich grzechów. Wymyślili więc sobie usprawiedliwienie w postaci słowa, do którego się modlą, wzdychają, któremu budują konfesjonały i ołtarze, przede wszystkim te konfesjonały. Gdyby nie one, Bóg nie byłby potrzebny. Jaki to wygodny urząd — konfesjonał! Nie opłaca się znaczków skarbowych, tylko w „imię Ojca i Syna i Ducha", a potem "żałuję szczerze i proszę o pokutę" — i już cię pobłogosławiono i możesz grzeszyć od nowa z czystym sumieniem... Moja mama bardzo często chodzi do spowiedzi.

Piętnastoletnia dziewczynka zdecydowanie odrzuca wiarę w dogmaty; zauważmy, z jaką dojrzałością i lapidarną ironią charakteryzuje tradycyjny światopogląd, odpowiadając po raz pierwszy do końca na pytanie — dlaczego? To już trwałe odkształcenie, do którego doszła nie przez intelektualną spekulację,

poznaje jego wymierność. Alicja z krainy czarów jest tylko odwołaniem się do symboliki szczęśliwego dzieciństwa. „Masz piękne ręce, złote włosy i zielone oczy, jesteś piękna i dobra, i będziesz mnie zawsze kochać" — czy to jedna z ostatnich prób uwierzenia z powrotem w bajkę? — „Zjadam ciastko, zamykam oczy i jestem z tobą, ale mama wrzeszczy z kuchni, żeby zmyć szklanki, nic z tego, Alinko..." — więc jednak nie — bajka okazuje się fantasmagorią. — „Sprała mnie po pysku, bo zostawiłam brudną szklankę! — nienawidzę! ona myśli, że ja nic nie czuję. Nie potrafię wyrazić, jakie to bolesne — uderzenie w twarz od własnej matki! Nienawidzę jej, pogardzam, a przecież wystarczyłby mi jeden gest jej, abym ją kochała do nieprzytomności!".

Potrzeba kochania przechodzi u piętnastoletniej w obsesję. Z pozycji niekochanej winy i oskarża. Powrót do fetyszy dzieciństwa nie wystarcza, a tych, które jej narzuca otoczenie nie chce uznać — zbyt różny jest ten świat rzeczywisty od świata widzianego oczarowanymi oczyma Anetki Rivieré. Dom nie daje piętnastoletniej tych wartości etycznych i obyczajowych, jakich ona pragnie. Przecież dziewczyna chce być dobra, a kto jej określi kryterium tego dobra? Poezje Staffa i Rollanda nie wytrzymują konfrontacji z otoczeniem. Z takich piętnastoletnich wywodzą się N i e k o c h a n e — Adolfa Rudnickiego.

czyna utożsamia się z Anetką, jeżeli szuka rozwiązań moralnych w poezji Staffa, jakże nieprzychylnie przedstawia się jej najbliższy krąg rodzinny, gdzie w zasadzie więź rodzinna jest fikcją, gdzie matce nie starcza cierpliwości, a może i chęci porozumienia się z córką, gdzie zamiast owego romantycznego wzoru miłości widzi wulgarne obmacywanie? Podglądany przez dziurkę od klucza świat bynajmniej nie jest zachęcający. A przecież piętnastoletnią dziewczyną powoduje potrzeba uczucia.

„Moja Alinko z krainy czarów! Ciągle myślę o tobie. Całuję szybę, za którą jest ciemna noc, ta noc przyniesie ci mój pocałunek. Już z a p o m n i a ł a m, kiedy mnie m a m a ostatni raz c a ł o w a ł a, natomiast dziś dostałam znowu od niej w mordę..."

Brutalne skojarzenie — w ten sposób portrecik miniaturowych odczuć przekształca się w kliniczną fotografię cierpienia. Piętnastoletni człowiek

Nie musimy się tak bardzo wstydzić

Dalszy ciąg ze str. 8

Przecież to u nas się robi od samego początku istnienia sieci miejskiej. Nasilenie, rzecz jasna, wystąpiło w okresie Polski Ludowej i formy te rozwinęły się do tego stopnia, **że w konkursie ogólnokrajowym w roku 1953 uzyskaliśmy pierwszą nagrodę i tytuł najlepszej biblioteki w Polsce.** Już w roku 1952 na terenie sieci łódzkiej, liczącej wówczas 22 wypożyczalnie rejonowe, zorganizowano 610 pogadanek, 63 wieczory literackie, 17 odczytów naukowych, 10 akademii, 23 wieczory książki, 39 wieczorów czytania prasy bieżącej, 11 wieczorów poezji, 65 konkursów czytelniczych i 418 wystaw książek. — A więc jeszcze jedno I miejsce dla ambicji prestiżowej.

Akcja ta potęguje się z roku na rok i ostatnie sprawozdanie roczne wykazuje następujące liczby: w bibliotekach rejonowych — 157 wycieczek, 75 odczytów, 184 wieczory głośnego czytania, 570 wystaw książek, 390 plakatów propagandowych, 31 lekcji bibliotecznych i 107 zebrań aktywu; w centrali zaś udzielono — 8.193 informacji w dziale poradnictwa, opracowano 17 zestawów bibliograficznych i 2.415 opisów bibliograficznych w kartotece, 33 lekcje biblioteczne i przyjęcie 80 wycieczek z ilością 3.705 osób.

Doszły także do naszej wiadomości opinie jakoby uposażenie bibliotekarzy miejskich w Łodzi było specjalnie niskie. Stawki uposażenia stosowano według ustawy oraz według specjalnych zarządzeń władz finansowych. W pewnym momencie przyznaliśmy stawki ponad średnią normę i mieliśmy z tego powodu przykrości.

Uposażenie jest niedostateczne, ponieważ ustawowe stawki są niskie. Przy płynności kadr tworzą się oszczędności, których, wg. najsurowszych przepisów finansowych nie wolno użyć do podwyżki pensji pozostałym pracownikom i trzeba je zwrócić. Zestaw naszego personelu wcale nie jest najgorszy, dowodem że mamy osięgnięcia budzące uznanie w całym kraju. Wysokości uposażeń nie należy porównywać między różnymi województwami, bo to są już przestarzałe historie.

Do tych kilku uwag pisanych z myślą aby dać świadectwo prawdzie dla utrzymania dobrego imienia zasłużonych placówek sieci bibliotek miejskich i kilkuset ludzi w tej pracy zaangażowanych pozwalamy sobie załączyć opinię prof. T. Kotarbińskiego, prezesa Polskiej Akademii Nauk, który odwiedził niedawno naszą Bibliotekę Główną i z własnej inicjatywy nadesłał list następującej treści:

„Wielce Szanowny Panie Dyrektorze!

Dawno już, jeszcze w czasie urzędowania w Uniwersytecie Łódzkim, zamierzałem i powinienem był zapoznać się bezpośrednio z Biblioteką Miejską. Jednak zawsze gorączkowe aktualności udaremniały ten zamiar. I dopiero teraz, przed kilkoma dniami zaprowadziła mnie w jej progi potrzeba naukowa. Otóż stwierdzam, że zastałem to, czego nie znalazłem gdzie indziej ani w Łodzi ani w Warszawie (pewne tomy składowe monografii Wierzbowskiego o Komisji Edukacji Narodowej za lata 1773 nast.) Zastałem nadto cisze ład, piękne pomieszczenie, uprzejme obejście i szybkość obsługi technicznej. Niech mi więc wolno będzie przy sposobności tego wspomnienia z przed kilku dni wyrazić Panu spóźnione ale szczere i głębokie uznanie za wydatny, twórczy i przewodni udział w doprowadzeniu do urzeczywistnienia tej tak poważnej instytucji i w kierowaniu jej funkcjonowaniem.

Proszę Pana Dyrektora o przyjęcie wyrazów wysokiego szacunku.

(—) T. Kotarbiński

Tak ocenia naszą pracę jeden z najwybitniejszych — ludzi w Polsce, ocenia uczciwie i szlachetnie. Niech to będzie dobrym przykładem dla tych, którzy w tej sprawie zabierają głos i często bez znajomości rzeczy. —

JAN AUGUSTYNIAK

Z notatnika prokuratora

ANDRZEJ OSTOJA

SPECJALISTKA

Do Prokuratury wpłynął anonim pisany na maszynie. Nadawca donosił: „Panie Prekuratorze, powiadomić zaszczyt mam, że Jolanta W. zam. w Łodzi, ul. Targowa skrobała się u zwykłej babki i miała sztuczne porodowe poronienie. Pozostaje z szacunkiem — Życzliwy".

Aczkolwiek „Życzliwy" pozostawał z szacunkiem, to jednak nie tylko, że nie ujawnił swojej osoby ale nie przedstawiał właściwie żadnych konkretnych danych, które pozwalałyby nadać bieg sprawie, rokujący powodzenie. Wyglądała ona od samego początku dość beznadziejnie. Ponieważ jednak istnieje obowiązek sprawdzania anonimów, gdyż wiele z nich zawiera wiadomości prawdziwe — ustalono, że na ul. Targowej istotnie mieszka osoba wskazana w doniesieniu i wezwano ją na przesłuchanie. *)

Do gabinetu prokuratora weszła wysoka, bardzo przystojna kobieta. Włosy tlenione. Staranny makijaż. Elegancki strój. Zachowywała się dość swobodnie, z dużą pewnością siebie. Przesłuchanie nie należało do najłatwiejszych. Z jednej strony prokurator dysponujący dwiema linijkami pisma z anonimu bez żadnego konkretnego punktu zaczepienia, z drugiej strony kobieta wcale nie skora do jakichkolwiek wynurzeń, a przeciwnie, robiąca wszystko żeby nie powiedzieć prawdy. Prokurator miał jednak dwa atuty: po pierwsze posiadał doświadczenie życiowe i umiejętność analizowania zachowania świadka oraz sposobu składania zeznań, co mu umożliwiło natychmiastowe wychwytywanie najdrobniejszych nawet sprzeczności; po drugie kobieta oczywiście nie wiedziała jakimi danymi dysponuje prokurator.

W końcu padło pytanie bezpośrednio zmierzające do celu:

— Czy pani ostatnio była w ciąży?

Zmieszanie.

— Tak... nie... to jest... Nie, nie byłam. Dlaczego pan o to pyta?

— Proszę nie zapominać, że została pani uprzedzona o obowiązku mówienia prawdy i odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania. Żądam prawdziwej odpowiedzi na postawione pytanie.

— Nie byłam.

— Nigdy?

— Nigdy!

— Pani zapomina, że o tym, że była pani w ciąży, wiedzą także inne osoby.

— Kto panu prokuratorowi o tym powiedział?

— To nie jest w tej chwili ważne. A więc sam fakt pani potwierdza?

— W tym stanie rzeczy, jeżeli pan wie... cóż mam robić?... tak, potwierdzam.

— Co się stało z dzieckiem?

— Nie było żadnego dziecka!

— A więc co się stało z płodem?

Zupełna konsternacja.

— Ja... ja sama dokonałam na sobie zabiegu. Wyrzuciłam!

Dłuższa rozmowa. Liczne rozbieżności. Świadek nie potrafi ich wyjaśnić. Plącze się coraz bardziej. W końcu oświadcza: „Tak, więc już powiem; zabiegu przerwania ciąży dokonał u mnie dr W. w swoim prywatnym mieszkaniu. Za 800 zł." Wersję tę uporczywie podtrzymuje. Prokurator dzwoni do dr W. Jolanta W. słyszy tę rozmowę, jednak wcale na nią nie reaguje. Uśmiecha się, jest pewna siebie. Dr W. zaraz przyjedzie. Tym lepiej. Cieszy się z tego bardzo. Nareszcie się sprawa wyjaśni. Prokurator zaczyna przypuszczać, że to naprawdę lekarz dokonał zabiegu.

Zjawia się dr W. Konsternacja.

— Zaprzeczam stanowczo i kategorycznie, abym miał dokonywać zabiegu przerwania ciąży u ob. Jolanty W. Ta pani zgłosiła się do mnie będąc w piątym miesiącu. Nie podjąłem się dokonania zabiegu.

— Czy chce pani w związku z tym coś wyjaśnić? — pyta prokurator.

— Tak. Teraz powiem. Zresztą po co to, pan i tak wie wszystko. Obstawił mnie pan ze wszystkich stron...

* * *

Jolanta W. złożyła wyczerpujące zeznanie. Zaszła w ciążę pod koniec kwietnia 1959 roku. Potem mąż jej został aresztowany. Znalazła się w trudnych warunkach materialnych. Zdecydowała się na spędzenie płodu. Było już jednak za późno i lekarz, do którego się w tej sprawie udała, nie zgodził się na wykonanie „skrobanki". Zaczęła wypytywać swoje koleżanki, czy nie wiedzą, kto mógłby takiego zabiegu dokonać. W sierpniu 1959 roku spotkała przypadkowo na ulicy znajomą, której nazwiska do ostatniej chwili jednak nie ujawniła, twierdząc, że go nie pamięta. Koleżanka ta powiedziała, jej że zna kobietę, która masowo dokonuje „skrobanek" i między innymi jej również przerwała ciążę dwukrotnie. Dodała, że kobieta ta nazywa się Franciszka U. i mieszka przy ul. Kilińskiego. Tego samego dnia Jolanta W. wraz ze swą koleżanką Alicją T., udały się pod wskazany adres, jednak Franciszki U. nie zastały w mieszkaniu, a mąż jej, domyślając się widocznie, w jakiej sprawie kobiety przyszły, poinformował je, że żona w godzinach rannych jest zawsze w domu, a on jest poza domem, tak, że będą mogły spokojnie załatwiać „swoje sprawy".

Na drugi dzień, a było to 20 sierpnia przed południem, Jolanta W. wraz z Alicją T. przyszły do Franciszki U. Otworzyła im drzwi mała, drobna, chuda, starsza kobieta, lekko pochylona, o przenikliwym wzroku. Rozpoczęła się dłuższa indagacja. Skąd? Po co? Dlaczego? Kto skierował? W końcu zirytowane niewiasty chciały zrezygnować z zabiegu u tak podejrzliwej osoby. Dopiero wówczas Franciszka U. powiedziała, że istotnie „robi skrobanki", jednakże musi być bardzo ostrożna, ponieważ miała już za to sprawę karną i kilka postępowań prokuratorskich, lecz z tamtych spraw udało się jej wykręcić, bo nie było dostatecznych dowodów. Teraz prawdopodobnie znajduje się pod obserwacją. Powiedziała również, że ma wielką praktykę, a kobiety przychodzą do niej nie tylko z miasta, ale przyjeżdżają z województwa, a nawet z całej Polski. Jolantą zaznaczyła, że ciąża jest co najmniej 5 miesięczna, na co Franciszka U. odparła, że dla niej jest to „drobnostka", gdyż jest wybitną „specjalistką". Następnie ustaliła wysokość zapłaty, żądając 1.500 zł. Jolanta W. wyraziła zgodę i umówiły się na drugi dzień, ponieważ Franciszka U., w obawie przed rewizją, nie trzymała w domu żadnych „narzędzi", które by mogły świadczyć przeciwko niej w razie znalezienia.

Następnego dnia ok. godz. 10, Jolanta W. wraz z Alicją T. przyszły do Franciszki U., która oczekiwała na nie. Jolanta wręczyła jej 600 zł mówiąc, że resztę pieniędzy otrzyma „jak będzie po wszystkim". Franciszka U., aczkolwiek niechętnie, wyraziła na to zgodę.

Następnie Franciszka U. przygotowała roztwór składający się ze zwykłej, nieprzegotowanej wody, lekko podgrzanej, do której wkroiła oznaczone ilości mydła do prania, oraz wlała jodyny.

Płyn ten, w ilości około ½ litra wstrzyknęła Jolancie do narządów rodnych, używając w tym celu dużej gruszki gumowej. Zabieg ten powtarzała dwukrotnie, mówiąc, że musi wpuścić płyn przez szyjkę maciczną. W czasie wykonywania tych czynności Jolanta kilkakrotnie prosiła, aby uważała, gdyż „chodzi tu o jej życie i zdrowie", na co Franciszka U. obraziła się i zwymyślała pacjentkę. Podkreślała także kilkakrotnie, że jest wybitną specjalistką w tym zakresie, że ma wielką wprawę i doświadczenie, gdyż parę razy w tygodniu wykonuje te zabiegi.

Po wstrzyknięciu płynu Jolanta W. dostała bardzo silnych bólów i poczęła wymiotować, czym „specjalistka" niezmiernie się wystraszyła i nalegała, aby Jolanta czym prędzej opuściła jej mieszkanie, aby „nic się nie stało w jej domu". Po pewnym czasie bóle na tyle się uspokoiły, że Alicja T. mogła odwieźć koleżankę taksówką do domu. W nocy stan zdrowia Jolanty W. pogorszył się, temperatura dochodziła do 42° C, wystąpiły bardzo silne bóle i krwawienie z narządów rodnych. Przerażona matka Jolanty W. około godziny 4 rano udała się do mieszkania Franciszki U., która oświadczyła, że zaraz przyjdzie, zjawiła się jednak dopiero o godzinie 11. W domu oprócz Jolanty W. i jej matki była również Alicja T. Widząc bardzo ciężki stan ogólny Jolanty chciała ona wezwać pogotowie ratunkowe, jednak Franciszka U. kategorycznie się temu sprzeciwiła.

— Co? Pogotowie? — wołała — pani chce mnie zgubić?!

— Lepiej wezwać lekarza, niż czekać, aż Jolanta umrze — odparła Alicja T.

— Nigdy w życiu nie dopuszczę do tego! — krzyknęła Franciszka U. — Nie mam zamiaru iść do więzienia! Trzeba się bardzo śpieszyć, bo lada chwila może być zator! — dodała.

Następnie Franciszka U. w krótkich odstępach czasu dała chorej około 10 tabletek chininy, oraz położyła jej na brzuch bardzo gorący termofor.

Po pewnym czasie martwy płód został wydalony na zewnątrz. Po czym Franciszka U. włożyła prawą rękę do narządów rodnych Jolanty W. i oddzieliła łożysko, które usunęła. Do tej czynności nie tylko, że nie użyła gumowych rękawiczek, ale nawet nie umyła rąk. Następnie orzekła, że wszystko jest w porządku i natychmiast zażądała wypłacenia reszty należności. Okazało się, że Jolanta W. nie ma pieniędzy, a matka ani Alicja T. również nie mogą jej pożyczyć.

— Dałam pani wczoraj 600 złotych, niech pani poczeka, na pewno zapłacę — powiedziała Jolanta słabym głosem.

— Nie ma mowy, pieniądze muszą być natychmiast — odparła sucho Franciszka U.

Jolanta odbyła naradę z matką.

— Czy przyjmie pani w zastaw złoty pierścionek? — zapytała.

Franciszka U. wyraziła zgodę.

Tak więc ten mały, złoty pierścionek, bez oczka (miał być kiedyś podobno rubin) mógł stanowić ważny dowód popełnienia przestępstwa i potwierdzić zeznanie Jolanty W.

* * *

Prokurator wszedł do mieszkania przy ul. Kilińskiego w asyście dwóch funkcjonariuszy MO. Drzwi otworzyła starsza, siwa, pochylona kobieta — odpowiadała opisowi Jolanty W. Prokurator wiedział zatem, że jest to Franciszka U. W mieszkaniu był oprócz niej, jej mąż i kuzyn. Na stole jak zwykle — wódka. Stanowisko Franciszki U. było jasne: „Nie wiem czego panowie ode mnie chcą, nie dokonałam żadnych niedozwolonych zabiegów związanych z przerywaniem ciąży, nie znam żadnej Jolanty W. ani nic nie wiem o pierścionku. Taki przedmiot u mnie się nie znajduje. Jestem niewinna".

W takim stanie rzeczy prokurator polecił przeprowadzić rewizję. Nie jest rzeczą łatwą znalezienie w mieszkaniu tak małego przedmiotu jakim jest pierścionek. Franciszka U. cały czas starała się zachować spokój. Dopiero kiedy na dłoni prokuratora błysnął mały pierścionek bez oczka, dokładnie odpowiadający opisowi Jolanty W. Franciszka U. zapłakała. „Teraz proszę pisać — powiedziała — przyznaję się do winy..."

* * *

Stwierdzono, że Franciszka U. była już karana w 1956 roku za dokonywanie zabiegów przerywania ciąży, zaś w 1953 roku Prokuratura Dzielnic: Łódź-Śródmieście i Widzew prowadziła przeciwko niej śledztwo o to samo przestępstwo, umorzone jednak z powodu braku dostatecznych dowodów winy.

Art. 4 Ustawy z dnia 27 kwietnia 1956 roku stanowi: „Kto dokonuje zabiegu przerwania ciąży za zgodą kobiety ciężarnej, lecz wbrew przepisom art. 1 (to znaczy nie będąc lekarzem) — podlega karze więzienia do lat 3".

Sąd Powiatowy dla m. Łodzi w Wydziale VII Karnym skazał Franciszkę U. na 2 lata więzienia.

Jolanta W. miała w tym wypadku dużo szczęścia. Tragiczna statystyka wskazuje, jak wiele kobiet ginie przy tego rodzaju zabiegach, dokonywanych w antysanitarnych warunkach przez „babki" w rodzaju Franciszki U. Wiele też kobiet pozostaje nieszczęśliwymi ofiarami okaleczonymi przez takie „specjalistki" na całe życie. I aż wierzyć się nie chce, że takie praktyki mogą być dokonywane masowo w wielkim mieście o rozbudowanej sieci służby zdrowia, w czasach, kiedy państwo zrobiło wszystko, aby pójść na rękę kobiecie ciężarnej, która z takich czy innych powodów chce się zdecydować na dokonanie zabiegu przerwania ciąży. Trudno naprawdę zrozumieć, dlaczego kobiety w tylu wypadkach idą do lekarza, w terminie daleko spóźnionym, lub w ogóle omijają lekarza, przedkładając nad fachową pomoc zbrodnicze praktyki Franciszek U. i jej podobnych.

*) Należy tutaj wyjaśnić, iż w myśl Ustawy z dnia 27 kwietnia 1956 r. „o warunkach dopuszczalności przerywania ciąży", popełnia występek każdy, kto dokonuje zabiegu przerywania ciąży, jeżeli nie jest do tego uprawniony, a zatem jeżeli nie jest lekarzem. Ustawa ta ma na celu „ochronę zdrowia kobiety przed ujemnymi skutkami zabiegów przerwania ciąży, dokonywanych w nieodpowiednich warunkach lub przez osoby nie będące lekarzami". W omawianym wypadku anonim wskazywał zatem na fakt popełnienia czynu przestępnego i dlatego stanowił on podstawę do wszczęcia postępowania karnego.

Telewizja kontra kino czy odwrotnie?

Mówiąc lapidarnie chodzi o konkurencję dwóch ostatnich z rzędu Muz X i XI — filmu i telewizji, a właściwie kina i TV.

Problem ten od dawna nurtuje socjologów. Czy burzliwy rozwój TV znaczy śmierć dla tradycyjnego kina, czy też TV nie stanowi dla niego większej konkurencji, przeciwnie jest motorycznym czynnikiem jego rozwoju? Przecież właśnie obawa konkurencji TV spowodowała powstanie nowych technik filmowych: cineramy, circeramy, wprowadzenie lepszych technik kolorowych i stereofonii! Pod tym względem kino przewyższa telewizję. Ale telewizja bije kino na głowę tym, że dociera bezpośrednio do domów, że jest nie tylko filmem, ale i radiem i teatrem i gazetą, że najszybciej łączy ze światem, że każe się do siebie przyzwyczaić i z czasem jest ważnym elementem życia rodzinnego...

Jak przedstawia się ta sprawa u nas? Zamieszczamy poniżej artykuł pana Wojciecha Wojnarowskiego pracownika Miejskiego Zarządu Kin w Łodzi. Z pracy tej wynika, że frekwencja w kinach łódzkich spada w miarę wzrostu liczby telewizorów. A jak wygląda ten problem w USA? Podajemy na ten temat dość sensacyjną notatkę... To co z niej wynika powinno być groźnym memento dla pracowników naszej rodzimej TV.

Notowany od dwóch lat poważny spadek frekwencji i wpływów w kinach, jest w dużej mierze spowodowany szybkim i szerokim rozwojem telewizji. W roku 1959 w Łodzi było 14.900 telewizorów. W ciągu dwóch lat, do końca roku 1961 przybyło 27.000 telewizorów. Znaczy to, że przeciętnie każdego dnia powszedniego (nie licząc niedziel i świąt), w 44 domach pojawił się nowo zakupiony aparat telewizyjny. Przyjmując, że średnio program przy jednym telewizorze ogląda 5 osób, otrzymujemy obecnie, olbrzymią liczbę 210 tys. telewidzów. Akcje ankietowe wykazały, że z tych osób tylko niewielki procent uczęszcza systematycznie do kin i to wyłącznie na wybrany, atrakcyjny program. Do takich zaliczają się filmy panoramiczne, barwne oraz szereg filmów produkcji krajów kapitalistycznych, nie wyświetlanych przez telewizję.

Tym pozycjom telewizja przeciwstawia szereg filmów (często b. atrakcyjnych) zakupionych wyłącznie do rozpowszechniania telewizyjnego. Niemal wszystkie filmy (prócz panoramicznych) produkcji polskiej, radzieckiej i krajów demokracji ludowej są pokazywane w telewizji i z reguły wyprzedzają termin wyświetlania ich w kinach II kategorii, które stanowią przecież większość ogółu kin. Dodając jeszcze dużo niższy koszt opłaty abonamentu telewizyjnego i energii elektrycznej od kosztu biletu kinowego, spadek frekwencji w kinach (szczególnie na filmach polskich, radzieckich, dem. lud.) jest zupełnie zrozumiały i nieunikniony. Dla przeciętnego posiadacza, odbiornik telewizyjny stał się największą atrakcją i zastępuje mu dotychczas najpopularniejszą, a od pewnego czasu dość drogą rozrywkę jaką jest kino.

Dodatkową atrakcją jest ułatwiony sposób ratalnego nabywania telewizorów. Wprowadzono nawet system telefonicznego zamawiania kupna. Do mieszkania nabywcy przybywa specjalna ekipa z kilkoma do wyboru odbiornikami, monterzy oraz pracownik Obsługi Ratalnej Sprzedaży z gotowymi do podpisu formularzami. Wprowadzone z dniem 1 lutego br. obniżenie pierwszej raty przy zakupie telewizorów produkcji krajowej z 25 proc. do 10 proc., jeszcze bardziej wpłynie na zwiększenie się liczby odbiorników w domach łodzian.

Spadek frekwencji w kinach wskutek dynamicznego rozwoju telewizji jest powszechny nie tylko w Polsce. Np.: w Czechosłowacji, gdzie w 1959 r. przybyło 191 tys. telewizorów, liczba widzów kinowych zmniejszyła się, porównując z rokiem poprzednim, o 10 mln. W tym samym roku w NRD, zakupienie przez mieszkańców 276 tys. telewizorów spowodowało odpływ z kin 14 mln. widzów. W Anglii z tych samych przyczyn liczba widzów kinowych z 1.396 mln. w r. 1950, zmalała w roku 1959 o przeszło połowę.

Ale nie tylko program telewizyjny stał się poważnym konkurentem kina. Szybki rozwój różnego typu i rodzaju placówek kulturalnych (kluby, świetlice, zw. sportowe, kluby filmowe, itp.) zmniejszył poważnie ilość czasu jaki przeciętny łodzianin przeznacza na pobyt w kinie. Do pewnego czasu kino niemal posiadało monopol na tanią i łatwo dostępną rozrywkę. Obecnie monopol ten straciło.

WOJCIECH WOJNAROWSKI

Kontrofensywa kina

W ostatnim czasie zaobserwowano w Stanach Zjednoczonych zmniejszenie zainteresowania społeczeństwa audycjami telewizyjnymi. Ilość godzin spędzonych przy telewizorach spadła o prawie jedną dziesiątą! Powodem tego zjawiska jest bardzo słaby (biorąc ogólnie) poziom programów telewizyjnych. Równocześnie stwierdzono w tym samym okresie wzrost liczby widzów w kinach o 6 proc. w porównaniu z rokiem 1950.

O żądaniach pani Cely i telewizyjnych satelitach

Francuska gwiazdka filmowa Celina Cely wyemigrowała do USA w poszukiwaniu kariery. Z początku jakoś to nie bardzo jej szło, aż nagle wpadł w ręce pani Cely album wydany przez towarzystwo telewizyjne „Columbia Broadcasting System". Na okładce tego albumu Celina Cely rozpoznała siebie jeszcze z tego okresu kiedy pozowała do zdjęć na okładki czasopism. No, ale co było we Francji nie może obowiązywać w USA! Celina Cely zaskarżyła więc towarzystwo telewizyjne o bezprawne zamieszczenie zdjęcia i zażądała odszkodowania w wysokości 60 milionów franków. Jakkolwiek nie wiadomo jeszcze czy pieniążki te otrzyma, wiadomo, że zwróciła na siebie uwagę jeśli już nie filmu to konkurencyjnych towarzystw telewizyjnych. A że przy tym grzeszy urodą... to kto wie czy jeszcze w bieżącym roku nie zobaczymy jej na naszych ekranach. To oczywiście przesada, ale faktem jest że już w bieżącym roku ma się rozpocząć retransmisja programów telewizyjnych z Ameryki do Europy za pośrednictwem sztucznych satelitów, które umieszczone zostaną na orbitach wiosną br.

Dla całości obrazu piszemy tu:

TELEwizja

O współpracy

XiXI Muzy na przykładzie filmu „Okup"

Konkurencja, konkurencja ale są między kinem i telewizją płaszczyzny wspólne. Dowodem tego jest wchodzący właśnie na nasze ekrany film amerykański „Okup". Film ten podobnie jak inne najwybitniejsze filmy USA „Dwunastu gniewnych ludzi", „Marty", „Wieczór kawalerski" i inne oparty został na oryginalnym scenariuszu widowiska telewizyjnego. Widowisko to było swego rodzaju przełomem w tradycjach USA. Mówiło w sposób jasny i niesłychanie dramatyczny o porwaniu dziecka. Temat ten był w USA tematem zakazanym. Chodziło o to, by wobec licznych wypadków kidnaperstwa nie rozpowszechniać wyrafinowanych metod stosowanych przez porywaczy, i z drugiej strony nie budzić paniki w społeczeństwie, w którym ten typ przestępstwa jest niezwykle opłacalny ze względu na liczną klasę posiadaczy.

Widowisko telewizyjne „Straszna decyzja" wywarło tak wielkie wrażenie na widzach, że na ogólne zadanie powtórzono je dwukrotnie co w USA jest wypadkiem wyjątkowym. Sfilmowano je potem nie tylko ze względu na olbrzymie zainteresowanie ale przede wszystkim dzięki poważnemu postawieniu problemu stosunku społeczeństwa i bohatera filmu do kidnaperstwa.

Film, który obejrzymy wkrótce na ekranach kin łódzkich ma zresztą wszystkie cechy widowiska telewizyjnego, jest kameralny, dzieje się na niewielu planach, wśród niewielu ludzi, ale nie umniejsza to wcale wielkiego ładunku dramatycznego tego znakomitego dzieła, które z małego ekranu przeszło na ekran kin.

Ojciec chłopca milioner Stannard (gra go Glenn Ford) przyjmuje pierwszy i jedyny telefon od kidnaperów

Glenn Ford i Donna Reed (grająca w filmie żonę Stannarda)

Uwaga niezadowoleni!

Ostatni, 6 numer „Przeglądu Kulturalnego" przynosi olbrzymi, ale pasjonujący artykuł Tomasza Domaniewskiego pt. „Pieniądze i mózg" Autor, który w tygodniku tym prowadzi dział telewizji z rzadko spotykaną odwagą rozprawia się ze wszystkimi grzechami naszej TV nie odmawiając sobie prawa ingerencji w sprawy personalne i finansowe. Ponieważ tezy artykułu pokrywają się z naszymi poglądami przedstawianymi nieraz na tym miejscu nie omawiamy tej pozycji szczegółowo. Zachęcamy tylko wszystkich niezadowolonych z programu TV by przeczytali sobie rzecz gwoli pokrzepienia serc.

Ze swej strony wierzymy, że czołowy artykuł tak poważnego pisma nie minie bez echa, że wkrótce w TV znajdą się i pieniądze i mózg.

PROGRAM na najbliższe dni

CZWARTEK, 15 BM.

10.00 — Program dla szkół: język polski (dla klas licealnych), cykl: „Dzieje dramatu". Temat: Molier „Świętoszek" (W). 10.30—17.20 — Przerwa. 17.20 — Program dnia (Ł. lok.). 17.25 — „Wolne ręce" (Ł. lok.). 17.40 — Program regionalny „Promieniści" (Łódź ogólnop.). 18.10 — PKF (W). 18.20 — „Nie tylko dla pań" — magazyn (W). 18.55 — Recital skrzypcowy Igora Bezrodnego (ZSRR). Akomp. Abram Makarow. W programie utwory: Sergiusza Rachmaninowa, Sergiusza Prokofiewa, Igora Strawińskiego, Panczo Władigerowa (W). 19.30 — Dziennik telewizyjny (W). 20.00 — TV Magazyn Wojskowy (W). 20.30 — „Płótno śmierci" — film fabularny prod. USA dozw. od lat 16 (W). 21.55 — Ostatnie wiadomości (W).

PIĄTEK, 16 BM.

16.50 — Program dnia i tygodnia (Ł. lok.). 17.03 — Program tygodnia (W). 17.25 — „Spojrzenia i opinie" (Ł. lok.). 17.55 — „Śladami Pitagorasa" — teleturniej (W). 18.25 „Znak Zorro" — odc. XII filmu prod. USA (W). 18.55 — Wszechnica TV: „Enrico Fero" — program z cyklu: „Człowiek i jego dzieło" (W). 19.30 — Dziennik telewizyjny (W). 20.05 — „Jasny gwint" — program publicystyczny Andrzeja Wróblewskiego (W). 20.35 — „Nikt nic nie wie" — film fab. prod. CSRS (W). 21.45 — „Jak zabawa, to zabawa" (W). 22.05 — Ostatnie wiadomości (W).

SOBOTA, 17 BM.

10.00 — Program dla szkół, biologia (dla klas V). Cykl: „Natura i człowiek". Temat: „Słodkie rośliny". 10.30—16.40 — Przerwa. 16.40 — Program dnia. 16.45 — Program dla dzieci: 1) „A co dalej?" — o książkach dla najmłodszych, 2) „Kupiec kwiatów" — widowisko M. Kral. 17.45 — Narciarskie mistrzostwa świata — uroczyste otwarcie. Transmisja z Zakopanego. 19.10 — „Porozmawiajmy". 19.30 — Dziennik telewizyjny. 20.05 — „Pegaz" — Magazyn kulturalny. 20.40 — PKF. 20.50 — Film fab. prod. franc. dozw. od lat 16 pt. „Zbrodnia pana Lange". 22.15 — Ostatnie wiadomości. 22.20 — „Ballady i limeryki" — program rozrywkowy w reżyserii Ewy Bonacielej.

ODGŁOSY tygodnia

WYJĄTEK i REGUŁA

Kadry — znów w modzie. Ich poziom — „na tapecie". Ich szkolenie — w obowiązujących instrukcjach. Klątwy i kary spadać mają na opornych, którzy nie dadzą się posadzić w ławce.

„Wiem, że nic nie wiem" — stało się hasłem dnia dla przemysłu. Kto żyw — a bez szkoły podstawowej, ogólnokształcącej, nawet (przy pewnych stanowiskach) wyższej — musi się uczyć. Chyba, że szczęście mu dopisało i posunął się w latach. Po 45 roku życia, nie musi się uczyć i „posunięcie" na niższe stanowisko — jeśli dobrze pracuje, z a t o mu nie grozi.

Pomysł — świetny. Wiadomo, że „nauka to potęgi klucz, w tym moc, kto więcej umie". A że np. w przemyśle włókienniczym „moc", czyli jakość i ilość produkcji, ma wzrastać, przemysł jako środek do tego celu chce wykorzystać naukę.

Kadry wysoko kwalifikowane, lepiej pracują — zakład ma dobre wyniki. Taka jest reguła. Ale... są wyjątki, bez których nie ma reguł. Znamy taki jeden — klasyczny...

Zjednoczeniu Przemysłu Dziewiarsko Pończoszniczego podlega pewien, znajdujący się w Łodzi, zakład określany jako przykład, który nie może być przykładem.

Dyrektor ma ukończonych 7 klas szkoły podstawowej, naczelny inżynier — takoż, dyrektor handlowy niepełne wykształcenie ogólnokształcące. Spośród 8 osób pełniących funkcje kierownicze i odpowiedzialne (najważniejsze w zakładzie), 4 ma także tylko szkołę podstawową.

W sumie ...zakład pracuje świetnie. Taka jest przynajmniej opinia jego władz nadrzędnych. Plany wykonuje i przekracza, produkuje ładnie, sam ładnie wygląda — aż przyjemnie popatrzyć. Patrzą więc wszystkie wycieczki „z kraju" i „ze świata".

Nie ma to jak podstawy...

SŁODKA TAJEMNICA

Łakomstwo nie zaspokojone, staje się zaniepokojone. Nas zaniepokoiła chałwa.

Trzy lata temu uczestniczyliśmy w uroczystym otwarciu pierwszej w Łodzi i Polsce PROBIERNI CHAŁWY. Organizatorzy zapewniali wtedy: tu, na Głównej, w PROBIERNI będzie chałwa i waniliowa i czekoladowa i fantazyjna i bakaliowa..."

Otwarcie się skończyło, a smak pozostał. Chodziliśmy więc przez pewien czas — twar do, do PROBIERNI. Rozrywka to bowiem słodka, a niedroga.

Najpierw były trzy rodzaje chałwy, potem — dwa, teraz — jeden.

Dawniej, w sezonie to jest w pierwszym i czwartym kwartale (tylko wtedy się chałwę produkuje) można ją było dostać w każdej, nawet najmniejszej i dalekiej od śródmieścia spółdzielni. Dziś nie tak łatwo. Byle sklepik chałwy nie ma i dobrze się trzeba nachodzić, aby ją dostać.

Dlaczego? Czy może chałwa szkodzi? Zawiera jakiś „nieprzychylny" dla ludzkiego organizmu składnik, jak — nieprzymierzając cholesterol w masełku?

Nie, po prostu zabrakło ziarna sezamowego, które jest niezbędnym składnikiem do produkcji różnych rodzajów chałwy. Można wprawdzie ziarno zastąpić nasionem słonecznika, fistaszkami, orzeszkami, ale to nie to samo. Fachowcy owszem zastępują (nawet smacznie), wychodzi wtedy jednak tylko jeden rodzaj chałwy. Na przykład — arachidowa jedyna znajdująca się obecnie w sprzedaży, przy produkcji której ziarno zastąpiono fistaszkami.

Sławnym producentem chałwy i wyłącznym — półfabrykatów na chałwę, jest łódzka „Optima" Produkuje 50—60 ton chałwy miesięcznie. Jej przedstawiciel pojechał do Afganistanu po ziarno sezamowe. Ale zanim zakupi i przyjedzie — skończy się chałwowy sezon.

Trzeba więc próbować czekać na różne rodzaje chałwy do czwartego kwartału. Można w PROBIERNI. Z braku chałwy zamieniła się ona w kawiarnię Pozostał tylko napis i jeden gatunek wschodniego przysmaku... polskiej produkcji.

Przesiadka do Koluszek

Konduktor nr 2520 obsługujący w dniu 25 stycznia wagon tramwaju nr 4 okrył reporterowi „Odgłosów" bardzo charakterystyczny punkt Łodzi. Wołając na przystanku przy zbiegu ulic Kilińskiego i Traugutta: „Uwaga, proszę państwa, przesiadka do Koluszek, Skierniewic i Warszawy" dał nie tylko dowód uprzejmości i poczucia humoru, ale i fachowości tzn. znajomości ruchu komunikacyjnego w naszym mieście.

I pomyśleć, że groziła nam samoobsługa! Kto by wówczas przypomniał o przesiadce do Koluszek?

MOMENT STARTU

W ciągu najbliższych czterech lat ma nastąpić w Łodzi wydatna poprawa sytuacji mieszkaniowej. Jesteśmy obecnie w momencie startu do tej decydującej batalii.

Moment to świetnie dobrany, by zastanowić się, jakie są warunki owego startu. Otóż wedle danych na koniec roku 1960, Łódź była miastem o największym w kraju zagęszczeniu mieszkańców na izbę (1,78).

10 lat wcześniej, w roku 1950 Warszawa miała 1.91, zaś Łódź — 1,93. Różnice więc były niewielkie. Jednak w ciągu tych 10 lat Warszawa „zeszła" do 1.58. Przybyło tam w tym czasie 50 procent mieszkań, podczas gdy w Łodzi tylko 18 procent.

Oczywiście, Warszawa jest miastem uprzywilejowanym. W innych wielkich miastach tempo rozwoju było takie same jak w Łodzi lub nawet nieco niższe. Jednak warunki tamtych miast w żaden sposób nie dadzą się porównywać z naszymi. Trzeci pod względem zagęszczenia Kraków ma tylko 1.63 mieszkańca na izbę, a Poznań i Wrocław wręcz „śmiesznie" mało.

Stąd też Łodzi należało się pewne uprzywilejowanie na najbliższe lata. Inne miasta jednak z niemniejszym zapałem staraja się o jak największe kredyty na budownictwo mieszkaniowe. Jakie będą efekty, czy w dalszym ciągu pozostaniemy na szarym końcu, czy też potrafimy znacznie zmniejszyć dystans dzielący nas od pozostałej czwórki, zobaczymy już za 4 lata, z końcem planu 5-letniego.

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów"

Fot. Anatol Kobyliński

WYŻSZA EKONOMIA

O nowego rodzaju „osiągnięciach" ekonomicznych dowiedzieliśmy się podczas niedawnej narady zwołanej dla podsumowania pracy przemysłu dziewiarskiego w roku ubiegłym.

Ogłoszono wówczas urbi et orbi, że dzięki niestrudzonym wysiłkom i staraniom itd. itd. udało się przedsiębiorstwu tej branży poważnie zmniejszyć ilości zapasów towarowych zalegających magazyny. W jednym tylko ZPDz im. Głażewskiego (wzorowym!) zapasy te spadły w ciągu roku z 30 mln. zł do 6 mln. zł.

Sukces, prawda? Ba, ale dla kogo. Dla przemysłu na pewno. Czy jednak i dla klienta, śmiemy wątpić. Co bowiem oznacza w praktyce owa „genialna" operacja ekonomiczna, którą tak się szczyci przemysł dziewiarski? Oznacza to po prostu zalanie pod koniec ub. roku sklepów wszelkiego rodzaju tandeta dziewiarską, niemodnymi swetrami, bluzkami i bielizną, a nierzadko najzwyklejszymi pod słońcem bublami.

Że nie przesadziliśmy znów tak bardzo, świadczy pokazowa produkcja wzorcowego Zakładu im. Głażewskiego upłynniana w własnym sklepie fabrycznym, mieszczącym się przy zbiegu ulic Piotrkowskiej i Tuwima. Spróbujcie kupić tam cośkolwiek z nowych wzorów bielizny czy bluzek. Same staroćki, ubiegła pięciolatkę pamiętające koszuliny lub bluzki z przezroczystego nylonu, których już nawet w Brzykowie koło Widawy nie chcą ludzie kupować.

A jednak kupują! Dmie w fanfary przemysł i pokazuje palcem na owe rozładowane z bubli magazyny — A co nam pozostało innego, skoro zamiast oferować handlowi to, czego się domagał, przemysł dziewiarski, za naczelną zasadę wzajemnych z nim kontaktów postawił upłynnianie bubli za wszelką cenę. Jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma.

W końcu przecież w jakiejś koszuli musi człowiek chodzić.

ŻYTO w MIEŚCIE

W granicach Łodzi zamieszkuje blisko 6,5 tysiąca właścicieli indywidualnych gospodarstw rolnych. Są także gospodarstwa państwowe i spółdzielcze.

Żywy inwentarz łódzki przedstawia się następująco: ponad 2.300 koni, ponad 3.600 krów, ponad 10.300 świń i blisko 1.100 owiec.

Biorąc pod uwagę, że przeciętna krowa daje około 2.800 litrów mleka rocznie, mnożąc to przez ilość krów i porównując z danymi, dotyczącymi sprzedaży mleka w Łodzi, możemy obliczyć, że nasze własne krówki dostarczają prawie 1/3 ilości spożywanego w mieście mleka. Jesteśmy więc niemal samowystarczalni. A mówią, że Łódź, to tylko przemysł włókienniczy.

W porównaniu z imponującymi „wskaźnikami" inwentarza, park maszynowy rolnictwa łódzkiego przedstawia się wręcz... kompromitująco. Jeden wóz gumiony przypada na 8 gospodarstw, jeden siewnik — na 50, jedna kosiarka — na około 120. Traktorów mamy 11, czyli rzadziej niż w co pięćsetnym gospodarstwie.

Trudno zresztą za bardzo się dziwić, skoro przeciętne gospodarstwo łódzkie obszarem nie przekracza 2 hektarów. Tzw. użytków rolnych jest na terenie miasta dokładnie 10.017 hektarów, z czego na dzielnice Śródmieście przypada 457 ha. Wygląda to paradoksalnie, rzecz jednak w tym, że czerpiemy dane z Narodowego Spisu Powszechnego z grudnia 1960, a zgodnie z metodami Spisu, majątek notowało się w miejscu zamieszkania obywatela, niezależnie od tego, gdzie faktycznie leżał. Z tej samej racji przypada na Śródmieście... 89 świń.

Spis spisem, ale jak by uważnie poszukać, to na pewno w Śródmieściu Wielkiej Łodzi anno 1962 znalazłoby się jeszcze być może jakiś kawałek pólka pod żytem czy owsem. Oto wdzięczne zadanie dla tych, którzy chcą dowieść, że jednak wciąż jesteśmy Wielką Wsią.

UPARTY SYN BOŻEJ STRZAŁY

Łódź jest miastem, do którego po naukę zjeżdżają egzotyczni studenci ze wszystkich kontynentów. Interesując się głównie przedstawicielami Azji i Afryki, zapominamy bardzo często o ciekawych przedstawicielach mało znanych części naszego kontynentu. Mamy na myśli Islandię. W Łodzi przebywa na studiach jeden przedstawiciel tego ciekawego kraju — Trandur Thoorodssen. Jego „nazwisko" przetłumaczone właśnie na język polski brzmi: Uparty Syn Bożej Strzały. Jest on absolwentem wydziału mikrobiologii uniwersytetu w Kopenhadze. Jak każdy Islandczyk włada kilkoma językami: angielskim, francuskim, duńskim, niemieckim, no i oczywiście polskim i ojczystym.

Do Polski przyjechał jako stypendysta Ministerstwa Kultury i Sztuki PRL. Zajął on pierwsze miejsce w Islandii w konkursie zorganizowanym przez nasze ministerstwo dla kandydatów na studia w łódzkiej szkole filmowej. Obecnie studiuje reżyserię. Jest autorem dwu filmów, jednego z życia studentów islandzkich w Kopenhadze i drugiego, zrealizowanego dla Polskiej TV o Islandii.

Islandczycy wysłali do czterech szkół filmowych swoich przedstawicieli, po jednym do Polski, do Ameryki, do Niemiec i do Francji. Po powrocie absolwenci tych szkół stworzą kadrę mającej powstać kinematografii islandzkiej.

Trandur Thoorodssen bardzo dobrze wyraża się o naszym kraju i jego mieszkańcach, mimo, że ci ostatni byli uprzejmi ukraść z jego mieszkania... drzwi.

KOCHAJCIE DZIECI WRÓBELKA...

W Katowicach, Poznaniu a ostatnio w Krakowie otwarto azyl dla bezdomnych zwierząt. Informacje te podał triumfalnie „Przekrój", wyrażając uznanie krakowskim ojcom miasta, którzy nie po-

skąpili grosza na zorganizowanie tej tak humanitarnej i nie bez znaczenia tak dla zwierząt jak i dla ludzi instytucji.

Tylko w Łodzi o azylu nawet się nie mówi ani nie pisze. Jak gdyby miłość do zwierząt i uczucia humanitaryzmu wobec nich można było krzewić przy pomocy tylko samych kar i mandatów, wlepianych co bardziej bestialskim osobnikom.

„Kochajcie dzieci wróbelka
Wróbelek przyjaciel nasz szczery
Kochajcie dzieci wróbelka
Kochajcie do jasnej cholery".

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17 * Zam. 399 II. A 6